

zwrot

3
25

MIESIĘCZNIK POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W RC
CENA 50 Kč
WWW.ZWROT.CZ

EWA TROSZOK
TANECZNYM KROKIEM
PRZEZ ŻYCIE

ISSN 0139-6277



9 770139 627003 >

1 Po rocznej przerwie spowodowanej brakiem śniegu odbyła się w Istebnej jubileuszowa, 50. edycja Zjazdu Gwiaździstego. W zawodach narciarskich wzięło udział około 350 uczniów polskich szkół podstawowych na Zaozliu, rywalizujących w narciarstwie alpejskim, biegowym i snowboardowym. Organizatorzy, mimo trudnych warunków śniegowych, zadbałi o odpowiednie trasy i wysoki poziom zawodów. Wydarzenie, oprócz sportowej rywalizacji, sprzyjało integracji uczniów z polskich szkół z Zaozlia i promowaniu aktywności na świeżym powietrzu. ▼



3 Marszałek Senatu RP Małgorzata Kidawa-Błońska odwiedziła Czechy, gdzie spotkała się z przewodniczącym Senatu RC Milošem Vystrčillem i przewodniczącą Izby Poselskiej RC Markétą Pekarovą Adamovą, podkreślając znaczenie polsko-czeskiej współpracy. Wzięła udział w konferencji na cześć Františka Plamínkové, zwracając uwagę na rolę kobiet w polityce. W Ambasadzie RP w Pradze spotkała się także z Polonią i Polakami mieszkającymi w Czechach, podkreślając wsparcie Senatu i wzrost budżetu na działania polonijne. Z uznaniem odniosła się do pozytywnej postawy Polaków w Czechach, którzy aktywnie angażują się w działalność polskiej społeczności. ▼



✱✱✱ Krystyna Mucha z Mostów koło Jabłonkowa została za swoje zaangażowanie w zachowanie ginącego rzemiosła uhonorowana tytułem Mistrza Tradycyjnej Produkcji Rękodzielniczej Okręgu Morawsko-Śląskiego. Jako jedyna w regionie wytwarza tradycyjne sienniki ze słomy żytniej, korzystając z metod przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Jej praca jest dowodem na to, że dawne techniki mogą przetrwać mimo postępu technologicznego, a przekazywanie wiedzy kolejnym generacjom pozwala chronić dziedzictwo kulturowe. ▼



6 W Bibliotece Miejskiej w Karwinie odbył się wernisaż wystawy Ilony Frydy, zatytułowanej *Zauroczenie przyrodą*. Wystawa była nie tylko prezentacją jej twórczości, ale również dowodem na to, jak sztuka może łączyć pokolenia. Artystka, obdarzona wrażliwością na piękno natury, podzieliła się swoją pasją prezentując zarówno własne prace, jak i twórczość wnuków, których talent rozwija się pod jej okiem. Ekspozycja pokazała, że sztuka jest nie tylko formą wyrazu, lecz także sposobem na odkrywanie świata i pielęgnowanie wrażliwości. ▼

7 W Bibliotece Miejskiej w Cieszynie odbyła się prelekcja Zbigniewa Pawlika poświęcona Beskidowi Niskiemu i śladom dawnych mieszkańców Śląska Cieszyńskiego, którzy osiedlili się w tym regionie. Uczestnicy wirtualnej podróży poznali historię Zaozlian, ich potomków oraz miejsc związanych z kulturą Łemków, cerkiewami i działaniami wojennymi. Szczególne zainteresowanie wzbudziły opowieści o tych, którzy wciąż mówią *po naszymu*, kultywując tradycję przodków w nowych stronach. ▼

7-9 Biwak harcerski w Milikowie z okazji Dnia Myśli Braterskiej zgromadził harcerzy ze wszystkich siedmiu drużyn z Zaozlia, którzy wspólnie przeżyli wyjątkową przygodę inspirowaną *Małym Księciem*. Poprzez gry terenowe, nocne wyzwania i samodzielną nawigację, uczestnicy uczyli się współpracy, samodzielności i dostrzegania piękna w codzienności. ▼



9 Członkowie Miejsowego Koła PZKO w Trzyciechu spotkali się na corocznym zebraniu sprawozdawczym, podczas którego omówiono działalność koła i plany na przyszłość. Wydarzenie rozpoczął występ dzieci, a najmłodszy uczestnicy brali udział w warsztatach kulinarnych. Prezes Halina Zawadzka podkreśliła aktywność koła mimo niewielkiej liczby członków — organizowane są warsztaty dla dzieci, stoisko na Trzycieskim Lecie i Spotkanie Jesienne. W minionym roku skupiono się także na modernizacji siedziby, m.in. doposażając kuchnię i wymieniając drzwi oraz okna. ▼



9 W Domu Narodowym w Cieszynie odbył się koncert charytatywny *Lokalni dla Głębokiej*, mający na celu wsparcie poszkodowanych w tragicznym wybuchu kamienicy przy ul. Głębokiej. Wydarzenie przyciągnęło licznych mieszkańców regionu i Zaozlia. Organizatorzy — Adrianna Siwik, Przemysław Orszulik i Elżbieta Kożuchowska — mogli liczyć na szerokie wsparcie lokalnych instytucji i firm. Na scenie wystąpili młodzi artyści z Centrum Edukacji Muzycznej Martyny Prochowskiej oraz Studia Wokalnego ej_k, a gwiazdą wieczoru było Przemysław Orszulik Trio. Podczas koncertu prowadzono zbiórkę na rzecz rodzin dotkniętych tragedią z 29 grudnia, w wyniku której dwie osoby zginęły, a wiele straciło miejsce zamieszkania. ▼

12 Spacer organizowany przez PTTS *Beskid Śląski* był okazją do poznania historii Górnego Przedmieścia Cieszyna i dziejów protestantyzmu na Śląsku Cieszyńskim. Uczestnicy, pod przewodnictwem Haliny Twardzik, wyruszyli sprzed dworca w Czeskim Cieszynie, przemierzając trasę pełną historycznych przystanków. Szczegółne zainteresowanie wzbudziła odnowiona infrastruktura ulicy Błogockiej oraz koszarzy arcyksięcia Fryderyka, o których znaczeniu opowiedział prof. Wacław Gojniczek. ▼



13 W czeskokieszyńskiej Dziupli odbył się koncert jazzowego zespołu *Warsiński Trio* w ramach cyklu *Polski Czwartek* organizowanego przez Kongres Polaków. Klub, po gruntownym remoncie, ma stać się otwartym miejscem dla wszystkich, oferując różnorodne wydarzenia kulturalne — od koncertów jazzowych, bluesowych i folkowych, po spotkania literackie, jam session, planszówki i wystawy. *Warsiński Trio*, w składzie Sławomir Warsiński, Tymoteusz Tomala i Marcin Majcherek, zaprezentowało autorskie kompozycje inspirowane muzyką skandynawską, tworząc kameralną i nastrojową atmosferę. ▼



13 W Jabłonkowskim Centrum Kultury i Informacji odbyło się spotkanie poświęcone tradycji pasterskiej i Redykowi Karpackiemu — wyjątkowej wędrownie pasterzy przez Karpaty. Goście, w tym baba Piotr Kohut, opowiedzieli o historii i kulturze pasterstwa, podkreślając jego znaczenie dla beskidzkiej tożsamości. Uczestnicy mieli również okazję poznać twórczość poetycką Kohuta, którego tomik *Z Barani woło...* uchwycił codzienne życie pasterzy i piękno górskiej przyrody. ▼



13 Wykład Międzygeneracyjnego Uniwersytetu Regionalnego PZKO poświęcony rodowi Górników z Sibicy był okazją do zgłębienia historii tej zasłużonej dla regionu rodziny. Władysława Magiera przybliżyła sylwetki Franciszka i Niny Górników oraz kulisy powstawania swojej najnowszej książki. Nie zabrakło też pytań

uczestników. Wydarzenie wzbogaciła okazjonalna wystawa autorstwa Mariana Steffka z Ośrodka Dokumentacyjnego Kongresu Polaków, prezentująca archiwalne fotografie i dokumenty związane z rodziną Górników. ▼



14 W Bibliotece Regionalnej w Karwinie odbył się kolejny SWAP, zorganizowany z okazji Międzynarodowego Dnia Darowizny Książki. Wydarzenie umożliwiło czytelnikom wymianę książek i płyt winylowych, dając im drugie życie. SWAP cieszył się dużym zainteresowaniem, a biblioteka planuje kolejne edycje oraz inne wydarzenia, takie jak spotkania podróżnicze, *Book Start* dla najmłodszych czy koncerty. ▼



14 Naszą redakcję odwiedzili harcerze z drużyny harcerskiej *Czarne Pantery* z Trzyńca. Wizyta była okazją do inspirującej dyskusji na temat roli dziennikarstwa i odpowiedzialnego wykorzystania sztucznej inteligencji. Spotkanie pokazało, że młodzież z otwartością, ale i rozwagą podchodzi do nowych technologii, a wymiana doświadczeń okazała się wartościowa dla obu stron. Harcerze zostali także zaproszeni do współpracy z redakcją, co może być początkiem ich dalszej przygody z dziennikarstwem. ▼



16 Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci Piotra Horzyka. Na zawsze pozostanie w pamięci jako wybitny poeta, wrażliwy obserwator życia i oddany pasjonat literatury. Jego twórczość, pełna refleksji i poszukiwania sensu, inspirowała i poruszała kolejne pokolenia czytelników. Dzięki swojej działalności literackiej i organizacyjnej wniósł nieoceniony wkład w rozwój polskiej kultury na Zaolziu. Jego dorobek pozostaje trwałym śladem, a pamięć o nim będzie żywa w sercach tych, którzy mieli okazję go poznać i czerpać z jego poezji.

LISTY

Na Zaolziu i Wileńszczyźnie
Rozmowy o życiu Polaków | 3

ROZMOWA ZWROTU

Ewa Troszok
Tanecznym krokiem przez życie | 4
Dorota Kiedroń
Łzy, porażki, a czasami także sukces | 10

PAMIĄTKA RODZINNA

Trzy pokolenia – jedna kopalnia. Górnicy
tradycje w rodzinie Piotra Twardzika | 14

ROZMOWA ZWROTU

Mirka Vaňková
Podróżami zaczęłam się pasjonować od
wyjazdów z chórem szkolnym *Trallala* | 18

GALERIA ZDJĘĆ

Charytatywny pokaz mody Kwiat Morwy | 22

LITERATURA

Zbigniew Herbert i Henryk Elzenberg:
Kim stałbym się, gdybym Cię nie spotkał
– *mój Mistrzu Henryku?* | 24

MŁODZIEŻ

Wiktoria Kowalczyk: Bez wahania
poleciłabym ten wyjazd każdemu | 26

NASZE PASJE

Wyrastałam w domu, w którym
szanowało się tradycje – rozmowa
z Krystyną Muchą | 31

NASZE KLUBY

Klub Aktywnego Emeryta w Gródku | 34

SPACER ZWROTU

Spacery Zwrotu z prezesami
Miejscowych Kół PZKO: Trzanowice | 37

SZKATUŁKA

Jestem z gwiazd | 44
Twoja pieśń nigdy nie zamilknie | 45

RECENZJA

Pożycie w pokoju lekarskim | 46

KONKURS LITERACKI MIESIĘCZNIKA „ZWROT” 2025

Redakcja miesięcznika „Zwrot” oraz portal www.zwrot.cz zapraszają do udziału w kolejnej edycji **Konkursu Literackiego „Zwrot”**. To wyjątkowa okazja dla twórców, zarówno debiutujących, jak i doświadczonych autorów, by zaprezentować swoje dzieła szerszej publiczności.

KATEGORIE KONKURSOWE:

**Opowiadanie
Wiersz**

ZASADY UCZESTNICTWA:

Prace muszą być napisane w języku
polskim.

Tematyka jest **dowolna**.

Utwory nie mogą być wcześniej publiko-
wane ani nagradzane.

Każdy uczestnik może zgłosić **jedną
pracę w każdej kategorii**.

Teksty należy przesać w **czterech
egzemplarzach**, opatrzone godłem
słownym.

Do przesyłki należy dołączyć **zaklejoną
kopertę** z tym samym godłem, zawierają-
cą dane autora: **imię, nazwisko, adres
e-mail oraz numer telefonu**.

W zgłoszeniu należy umieścić zgodę na
publikację: „*Wyrażam zgodę na wykorzy-
stanie i publikację pracy w miesięczniku
„Zwrot” oraz w publikacji pokonkursowej.*”

TERMINARZ KONKURSU:

Ogłoszenie konkursu: marzec 2025

Nadsyłanie prac: do 31 lipca 2025

**Ogłoszenie wyników i gala finałowa:
październik–listopad 2025**

NAGRODY I WYRÓŻNIENIA

Laureaci zostaną zaproszeni na **Koncert
Poezji w Czeskim Cieszynie**, podczas któ-
rego nastąpi oficjalne ogłoszenie
wyników. Fragmenty nagrodzonych
tekstów zostaną odczytane przez aktorów
Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego.

ADRES DO NADSYŁANIA PRAC:

Redakcja miesięcznika „Zwrot”
ul. Strzelnicza 28, 737 01 Czeski Cieszyn
Z dopiskiem: **KONKURS LITERACKI
„ZWROT”**

CEL KONKURSU:

Wspieranie i promowanie **polskiej
literatury** na Zaolziu.

Upamiętnienie **twórczości
Zbigniewa Herberta**.

Zachęcenie młodych autorów do
rozwijania swojego talentu.

Publikacja najlepszych tekstów
w specjalnym wydawnictwie.

Zapraszamy do udziału w konkursie!
Więcej informacji: www.zwrot.cz



Konsulat Generalny
Rzeczypospolitej Polskiej
w Ostrawie

ČESKÝ TĚŠÍN

zwrot

Wydawca:

Polski Związek Kulturalno-Oświatowy
w Republice Czeskiej przy wsparciu finansowym
Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej.

Projekt finansowany ze środków Ministerstwa
Spraw Zagranicznych w ramach konkursu pn.
Polonia i Polacy za granicą 2023 ogłoszonego
przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów.

Publikacje wyrażają jedynie poglądy autorów
i nie mogą być utożsamiane z oficjalnym
stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych
RP ani Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”
im. Jana Olszewskiego.

magazyn regionalny

nr ewidencyjny MK ČR E 389
rok LXXVI, nr 904, IČ 442771,
numer konta: 232992221/0300



MINISTERSTVO
KULTURY



Fundacja
POMOC POLAKOM
NA WSCHODZIE
im. Jana Olszewskiego



Ministerstvo
Sprav Zagranicznych

Redakcja: Halina Szczotka / redaktor naczelny / halina.szczotka@zwrot.cz
Beata Tyrna / redaktor / india@zwrot.cz
Šárka Michalík / sekretariat / info@zwrot.cz

Administracja redakcji: gmach ZG PZKO, I piętro, ul. Strzelnicza 28,
Český Těšín (Czeski Cieszyn)
czynna w poniedziałki 8–12 i 13–16, wtorki i środy 8–12

Adres redakcji: ul. Strzelnicza 28, P. O. BOX 97, 737 01 Český Těšín (Czeski Cieszyn)
tel.: 558 711 582 / www.zwrot.cz

Okładka: fot. Marian Siedlaczek

Redakcja obrazu i składu: Studio Matrix / info@studiomatrix.cz

Druk: FINIDR, sp. z o.o. Czeski Cieszyn

Cena zwykłej prenumeraty rocznej 600 Kč, wspierającej min. 1000 Kč, do uiszczenia
przekazem pocztowym, przelewem lub bezpośrednio w redakcji. Wysyłka pocztowa
na podstawie umowy nr 701 001/02 z Przedsiębiorstwem Państwo-
wym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów,
zmiany tytułów, nie zwraca materiałów niezamówionych.

Nakład: 1500 egz. • Cena egzemplarza 50 Kč

Numer zamknięto 17 marca 2025 • ISSN 0139-6277



NA ZAOLZIU I WILEŃSZCZYŹNIE ROZMOWY O ŻYCIU POLAKÓW

Halina Szczotka ze „Zwrotu” i Rajmund Klonowski z „Kuriera Wileńskiego” w swoich listach piszą o tym, jak wygląda życie Polaków na Zaolziu i na Litwie. Co nas łączy, a co różni? Jakie mamy tradycje, z czym się mierzymy na co dzień?



Posłuchaj
podcastu
„Na Zaolziu
i Wileńszczyźnie”

Droga Halino,

w Wilnie marzec to już czas początku wiosny – nie tylko kalendarzowej i astronomicznej. Także wiosny, jako odrodzenia. 11 marca 1990 roku Rada Najwyższa Litwy przyjęła Akt Przywrócenia Państwa Litewskiego – dokument uznający włączenie na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow Litwy do Związku Sowieckiego za bezprawne i „wprowadzający w czyn suwerenność państwa”. Nastąpiła zmiana nazwy państwa na „Republika Litewska” oraz przywrócenie symboli państwowych, takich jak Pogoń, czyli charakterystyczny herb z rycerzem na koniu – które były w czasach rosyjskiej okupacji zakazane. Obecnie też na Litwie nie obowiązuje żaden akt prawny przyjęty przed 11 marca 1990 – bo w niepodległym kraju nie może obowiązywać prawo narzucane przez okupantów.

Wśród 124 sygnatariuszy Aktu znalazło się także czterech Polaków – Czesław Okińczyc, Medard Czobot, Romuald Rudzys oraz ówczesny redaktor naczelny „Kuriera Wileńskiego” Zbigniew Balcewicz.

W tamtym czasie, mimo ogłaszanej na Zachodzie jako „fala wolności” gorbaczowskiej „pieriestrojki”, czyli „przebudowy” komunizmu – myślenie, a co dopiero mówienie o niepodległości, wymagało nie lada odwagi. Na terenie Litwy stacjonowało wówczas rosyjskie wojsko w sile pięciu dywizji – około 35 tys. żołnierzy, wyposażonych w 3000 czołgów i 200 samolotów. Referendum o wyprowadzeniu wojska rosyjskiego odbyło się dopiero w 1992 roku – 92,59 procent głosowało za wyprowadzeniem okupacyjnego wojska z terenu Litwy.

Litwa była pierwszym krajem, który postanowił o wyjściu ze Związku Sowieckiego. Podobno gdy Gorbaczow, czyli najwyższy sowiecki wódz owego czasu, się o tym dowiedział, chciał rzucić na Wilno bombę atomową, żeby za takim przykładem nie poszli inni. No, ale wtedy by nie było pokojowego „Nobla”, prawda? Za to po otrzymaniu tej nagrody mógł wystąpić na cywilnych mieszkańców Wilna czołgi.

Zamiast bomby atomowej nastąpiła brutalna blokada ekonomiczna, znaleźli się też sojusznicy, którzy naciskali na Litwę, żeby jednak z tą niepodległością się nie spieszyła, bo kto to widział. Ale – przeżyliśmy!

Tak się zatem składa, że Litwa w roku obchodzi Święto Niepodległości dwa razy – a w wigilię tego wiosennego święta rozpalane są z inicjatywy władz ogniska niepodległości, przy których ludzie się zbierają i śpiewają patriotyczne piosenki.

Drogi Rajmundzie,

wiosna u nas to czas, kiedy zakwitają magnolie. Do Cieszyna sprowadził je ks. Leopold Jan Szersznik około 1800 roku. Magnolie można spotkać nie tylko w Cieszynie i Czeskim Cieszynie. Jakiś czas temu powstał też Szlak Kwitnącej Magnolii, jeśli zawitasz kiedy na przelocie marca i kwietnia do Cieszyna, zapraszam na spacer.

Jednak nie tylko magnolie zawdzięczamy Szersznikowi – pedagogowi, uczonemu, kolekcjonerowi. W 1802 roku udostępnił publicznie swój bogaty księgozbiór i muzeum. Biblioteka Szersznika licząca kilkanaście tysięcy woluminów była jedną z najstarszych instytucji tego typu w Europie Środkowej, obecnie jej spadkobiercą jest Książnica Cieszyńska. Natomiast muzeum założone przez Szersznika, obecnie Muzeum Śląska Cieszyńskiego, jest najstarszą tego typu publiczną instytucją na terenie dzisiejszej Polski.

Mieszkańcy Śląska Cieszyńskiego zawsze mieli szczególny stosunek do wiedzy i do książek. Warto wspomnieć np. piesze wyprawy Andrzeja Cinciaty i Pawła Stalmacha po polskie książki do Krakowa dla członków Towarzystwa Uczących się Języka Polskiego w ewangelickim gimnazjum w Cieszynie. Po raz pierwszy młody Stalmach i Cinciata udali się do Krakowa pieszo w 1847 roku.

Wiele polskich domów na Zaolziu ma przekazywane z pokolenia na pokolenie i ciągle uzupełniane obszerne księgozbiory, które napawają ich właścicieli dumą. Ale stosunek do książek się zmienia. Niestety zdarza się, że przychodzą do naszej redakcji ludzie, którzy pytają, co zrobić ze zbiorami książek przodków, których nie wypada im wyrzucić, ale też nie chcą lub nie mogą ich dalej przechowywać. I to są smutne historie, których przybywa.

Niszczenie książek nigdy nie zwiastowało niczego dobrego. A marzec to też przednówek, czas okrutny dla biednych, prawie niezauważalny dla bogatych. Jednak po przednówku przychodzi wiosna i to dodaje otuchy. Warto więc, pomimo ponurych wiadomości, które spadają na nas coraz częściej, mieć nadzieję.

Magnolie zakwitną już niebawem. Może, jak czytasz te słowa, już kwitną. Książki pomimo wszelkich ponurych prognoz ciągle są drukowane – również u nas na Zaolziu. Ogłaszamy w tym roku kolejną edycję naszego konkursu literackiego. Zapraszamy do udziału również czytelników „Kuriera Wileńskiego”. Szczegóły można znaleźć na naszym portalu Zwrot.cz.

Proponuję zatem inne spojrzenie – to nie my ratujemy książki. To one pomagają nam przetrwać, tak jak magnolie.

EWA TROSZOK TANECZNYM KROKIEM PRZEZ ŻYCIE



TEKST: RENATA STASZOWKA / ZDJĘCIA: MARIAN SIEDLACZEK, ARCHIWUM EWY TROSZOK

Ewa Troszok tańczy przez cały rok – dosłownie i w przenośni. Jako animatorka i instruktorka prowadzi kursy tańca towarzyskiego zarówno dla początkujących, jak i zaawansowanych. Sezon balowy płynnie przechodzi w kursy, a gdy przychodzi wiosna, zaczyna się maraton wesel, urodzin i festynów, który trwa aż do jesieni. Gdy inni zwalniają tempo, ona wraca na parkiet – jesień to czas nowych kursów tanecznych. Taniec to jej pasja, a nawet znak rozpoznawczy – dosłownie, bo na tablicy rejestracyjnej swojego samochodu (ET4DANCE) ma na to dowód. Jedyny moment na odpoczynek? Adwent i Wielki Post – wtedy daje sobie chwilę na złapanie oddechu. Na co dzień można ją spotkać w czeskokocieszyńskiej podstawówce, gdzie pracuje jako nauczycielka. Ale kto wie – może i tam, między lekcjami, przemycy kroki walca lub rumbę?

Jak zaczęła się Twoja przygoda z prowadzeniem kursów tańca?

To było pod koniec studiów na uniwersytecie w Ołomuńcu, gdzie studiowałam gimnastykę i biologię. Pewnej niedzieli rano zadzwoniła do mnie Joanna Martynek, która organizuje kursy tańca w Domu Kultury Trisia. „*Możesz przyjść? Najlepiej od razu!*” – usłyszałam w słuchawce.

Okazało się, że partnerka pana Otona Hili nie pojawiła się na zajęciach i nawet nie dała znać. Nie zastanawiałam się długo – zgodziłam się i poszłam. Tak, zupełnie niespodziewanie, tuż przed zakończeniem studiów, rozpoczęła się moja przygoda z prowadzeniem kursów tańca i lekcji ogłady towarzyskiej.

Z iloma partnerami prowadziłaś kursy i jak wspominasz współpracę z każdym z nich?

Na początku tańczyłam z Ottonem, później z jego synem Markiem, a teraz moim tanecznym partnerem jest Michał Kozub. Każdy z nich miał swój styl i temperament, więc z każdym pracowało mi się trochę inaczej.

Z Michałem jednak nadajemy na tych samych falach – nie tylko w tańcu, ale i w poczuciu humoru. Potrafimy się śmiać nawet z własnych potknięć, co sprawia, że atmosfera na kursach jest luźna i przyjemna. A kiedy prowadzący dobrze się dogadują, uczestnicy też czują się swobodniej!

Czy kursy tańca to nadal aktualna tradycja, czy raczej relikw przeszłości?

Zdecydowanie aktualna tradycja! W Czechach i na Zaolziu kursy tańca to coś więcej niż tylko nauka kroków – to element wychowania, który łączy pokolenia. W wielu krajach są one organizowane na

taką skalę jak u nas. To tradycja sięgająca XIX wieku, która wciąż cieszy się ogromnym zainteresowaniem, a dzięki programom telewizyjnym, takim jak *StarDance*, taniec staje się jeszcze bardziej popularny.

Na moich kursach młodzi ludzie nie tylko uczą się walca czy cha-chy, ale też ogłady towarzyskiej – jak elegancko wejść do sali, jak się przedstawić, jak zaprosić partnera do tańca. W dzisiejszym świecie pełnym ekranów i wirtualnych interakcji umiejętność poruszania się w towarzystwie jest wręcz koniecznością, a nie przeżytkiem!

Czy umiejętności zdobyte na kursie tańca mają realne zastosowanie w dorosłym życiu?

Zdecydowanie tak! Taniec to nie tylko kroki i figury, ale też

pewność siebie, dobra koordynacja ruchowa i swoboda w kontaktach towarzyskich. Na parkiecie uczymy się, jak zachować się w różnych sytuacjach – od eleganckich bali po mniej formalne imprezy.

Dlatego na kursach staramy się iść z duchem czasu – korzystamy z popularnych hitów, które młodzież zna z dyskotek, a do nich dopasowujemy choreografie cha-chy, jive’a czy innych tańców. Chcemy, by nauka była nie tylko pożyteczna, ale też ciekawa i angażująca. Bo dobra zabawa i rozwój mogą iść w parze!

Na kursy tańca przychodzi się w parach, czy też wybiera się partnerów dopiero na miejscu?

W większości przypadków uczestnicy zapisują się w parach. Oczywiście zdarza się, że ktoś nie znajdzie partnera i przyjdzie sam, ale to raczej wyjątki,



więc dziewczyny mogą być spokojne – raczej nikt nie zostanie bez pary. Bywały nawet czasy, gdy mieliśmy nadmiar partnerów! Ogólnie każdy ma szansę na taneczną przygodę.

Czy zauważasz różnicę między kursami tańca, które prowadziłaś na początku, a tymi dzisiejszymi?

Jeśli chodzi o technikę taneczną, to dużej różnicy nie widzę. Zwłaszcza dzieci z polskich szkół świetnie radzą sobie na parkiecie – mają naturalną swobodę ruchu, nie boją się tańczyć. Wynika to z tego, że od najmłodszych lat mają kontakt z tańcem. Już w przedszkolu i szkole podstawowej tańczą na balikach, festynach, podczas Dnia Babci i Dziadka czy Dnia Mamy. Wielu z nich działa w zespołach tanecznych, nie tylko folklorystycznych, więc kiedy trafiają na kurs, taniec nie jest dla nich żadnym wyzwaniem, a raczej kolejną przygodą!

Jakich tańców uczysz dzisiaj? Program kursu pozostał taki sam, czy dostosowujesz go do współczesnych trendów?

Wciąż uczymy klasyki – walca angielskiego oraz wiedeńskiego i foxtrota. Nie może zabraknąć cha-chy, która jest rytmiczna i uwielbiana przez wszystkich, a także naszej czeskiej polki. Zawsze staramy się wprowadzić coś nietypowego, dlatego uczymy także merengue. Na kursach dla zaawansowanych pojawia się rumba i sam-ba. Wspólnie z moim tanecznym partnerem, Michałem Kozubem, dbamy o to, aby uczestnicy byli naprawdę „wytańczeni”. Nie chodzi nam o to, by uczyć jak najwięcej figur i skomplikowanych kroków, ale by każdy potrafił rozpoznać taniec i odnaleźć się w nim.

Czy popularność programu *StarDance* wpłynęła na większe zainteresowanie tańcem?

Na początku było to trochę zauważalne, ale w naszym regionie ludzie od zawsze ko-chają taniec, więc różnica nie była aż tak duża. U nas jest coś wyjątkowego – ogromna liczba bali i zabaw tanecznych. Różne stowarzyszenia i organizacje regularnie je organizują, a ludzie co roku chętnie w nich



uczestniczą. Taniec to tutaj część tradycji, a nie tylko chwilowa moda.

Czy zdarzają się osoby, które naprawdę nie potrafią tańczyć?

Zdarza się, ale to rzadkość. Czasem ktoś przychodzi na kurs przekonany, że ma „dwie lewe nogi”, ale już po kilku lekcjach okazuje się, że to nieprawda. Wystarczy trochę cierpliwości i chęci, a każdy jest w stanie nauczyć się tańczyć – może nie od razu jak w *StarDance*, ale na pewno na tyle, by czuć się swobodnie na parkiecie!

Jakie są wymagania dotyczące stroju? Czy to duży wydatek dla rodziców?

Stawiamy na elegancję, ale dajemy pewną swobodę. Chłopcy muszą mieć garnitur, elegancką koszulę, krawat lub muszkę oraz oczywiście odpowiednie buty – trampki odpadają! Dziewczeta mogą wybrać eleganckie spodnie i bluzkę, ale zachęcamy do sukienki, zarówno krótkiej, jak i długiej. Na zakończenie również nie wymagamy klasycznej białej sukni. Na zakończenie wielu uczestników lubi dobierać stroje – na przykład koszula pod kolor sukienki lub krawat pasujący do kreacji partnerki. A czy to duży wydatek dla rodziców? Myślę, że nie

jest aż tak źle – podstawowy, elegancki strój można skompletować w rozsądnej cenie.

Wiem, że pary taneczne kończące podstawowy kurs tańca towarzyskiego mają możliwość kontynuowania nauki na poziomie zaawansowanym. Czy wiele z nich decyduje się na tę opcję?

To zależy. Wiele osób korzysta z tej możliwości i zapisuje się na kolejne etapy, ale ciekawym zjawiskiem jest to, że pary z kursu polskiego gimnazjum rzadziej się na to decydują. Dlaczego? Prawdopodobnie dlatego, że są już zaangażowane w zespoły taneczne i po prostu brakuje im czasu. Mają już taniec w życiu na co dzień, więc nie odczuwają takiej potrzeby, by kontynuować kursy.

Jaką muzykę wybieracie do kursów tańca?

Staramy się dobierać utwory tak, by miały wyraźny rytm cha-chy, jive’a czy walca, dzięki czemu uczestnicy mogą później wykorzystać swoje umiejętności na balach i innych imprezach. Nie trzymamy się wyłącznie klasycznych melodii – sięgamy też po współczesne piosenki, które sprawiają, że taniec staje się jeszcze przyjemniejszy.

EWA JAKO WODZIREJ

Prowadzisz nie tylko kursy tańca, ale także bawisz gości na balach i imprezach. Kiedy po raz pierwszy wcieliłaś się w rolę wodzireja i jak to wygląda dziś?

To było jakieś piętnaście lat temu, gdy Stanisław Kotorz zobaczył mnie podczas prowadzenia końcowej lekcji tańca (tzw. *szluskolony*) i zaproponował, żebym poprowadziła Babski Bal. Tak się zaczęło – i trwa do dziś! Kiedyś byłam wodzirejem na wielu dużych imprezach tanecznych, ale to bardzo czasochłonne, a następnego dnia muszę mieć energię na kursy tańca. Teraz ograniczam się do krótkiego programu – warsztatów tanecznych, które trwają około godzinę. Wyjątkiem jest Babski Bal – to jedyny, który nadal prowadzę od pierwszego do ostatniego tańca.

Co jest dla Ciebie największym wyzwaniem podczas prowadzenia balu?

Chyba najgorsze byłoby to, gdyby nikt nie chciał wyjść na parkiet! Ale na szczęście jeszcze mi się to nie zdarzyło. To zawsze trochę loteria – nigdy nie wiadomo, jakie towarzystwo się zbierze. Dlatego staram

się wybierać proste, rytmiczne układy i dobrą muzykę, żeby zachęcić wszystkich do zabawy.

Czyli nie tylko tańczący goście są zaangażowani?

Dokładnie! Staram się wciągnąć nawet tych, którzy siedzą przy stołach. Zachęcam ich do klaskania w rytm muzyki, do śpiewania – tak, żeby każdy poczuł się częścią zabawy.

Nie licząc bali, prowadzisz też imprezy rodzinne – wesela i urodziny?

Tak, zwłaszcza w sezonie weselnym, który trwa od maja do października. W tym czasie niemal każdy piątek i sobota są u mnie zajęte – to naprawdę intensywny okres! Co ciekawe, nie prowadzę wesel tylko na Zaolziu. Często dostaję zaproszenia także do Polski, a nawet kilka razy byłam na takich wydarzeniach koło Brna.

A co z tremą? Po tylu latach na parkiecie chyba już Cię nie dopada?

Może to zabrzmi zaskakująco, ale trema jest zawsze! Nigdy do końca nie wiadomo,

jakie będzie towarzystwo, czy ludzie chętnie włączą się do zabawy, czy trzeba ich będzie trochę rozruszać. To za każdym razem nowe wyzwanie, ale chyba właśnie to dodaje tej pracy emocji!

Przypomnij swoją przygodę taneczną.

Kiedy byłam małą, to nogi mi się same ruszały! Gdzie tylko muzyka grała, tam ja. No i mama z babcią uznały, że skoro tak skaczę po domu, to lepiej, żebym poszła tańczyć „na poważnie”. Tak trafiłam do klubu *Elan* w Trzyczńcu. Na początku moimi lektorami byli państwo Foltynowie, ci prowadzili początkujących. Kiedy ktoś osiągnął pewien poziom, to przechodził do Ottona Hili.

W ósmej klasie jednak zrezygnowałaś, co się wydarzyło?

No niestety... Mój partner uznał, że piłka nożna jest fajniejsza niż taniec. A jak wiesz, z chłopakami w tańcu zawsze jest trudniej – jak jeden odchodzi, to trzeba szukać nowego. No i szkoła, byłam w ósmej klasie, przede mną były egzaminy wstępne do średniej szkoły więc zdecydowałyśmy, że skoncentrujemy się na nauce.





Żałujesz?

Nie. Wtedy było mi może z tego powodu smutno, na parkiecie spędzałam sporo czasu, wiele się jednak nauczyłam. Taniec pokazał mi, że jeśli chcesz coś osiągnąć, musisz ciężko pracować. I że w życiu nie zawsze się wygrywa – porażki też trzeba umieć przyjąć i coś z nich wynieść.

Jakie mieliście osiągnięcia?

W tańcach standardowych i latynoamerykańskich wytańczyliśmy klasę B. Mam rów-



nież ukończoną szkołę trenerską oraz certyfikat/licencję sędziego i trenera tańca.

Ciągle poruszasz się w świecie tańca, jak oceniasz poziom dzisiejszych tancerzy w porównaniu do czasów, kiedy ty tańczyłaś?

Poziom jest na pewno o wiele wyższy niż za moich czasów! Ale to było wieki temu, więc nie ma co porównywać (*śmiech*).

Teraz tancerze mają zupełnie inne warunki – indywidualne treningi, warsztaty, zgrupowania... My mieliśmy dwa treningi w tygodniu i to musiało wystarczyć. A zgrupowania? Pamiętam Nydeczanek – wszyscy spaliliśmy na scenie na karimatach i w śpiworach, bo tak było taniej. Teraz? Nie do pomyślenia! Dzieciaki muszą mieć wygodne łóżka i warunki jak w hotelu (*śmiech*).

Jakie buty wybierasz do tańca, biorąc pod uwagę wygodę i elegancję?

Jako tancerka, szukam butów, które łączą elegancję z wygodą. Tańczę przez cały rok, więc muszą być nie tylko ładne, ale i komfortowe, żeby nie obciążały nóg. Mam swoją ulubioną markę, która spełnia te wymagania, i mam całą kolekcję! Wybieram je starannie, dobierając do stroju, by czuć się świetnie zarówno pod względem wyglądu, jak i komfortu.

Taniec to twoja pasja, ale na co dzień jesteś nauczycielem w czeskokoczeszyńskiej podstawówce. Lubisz tę pracę? Co w niej cenisz najbardziej?

Przede wszystkim kontakt z młodzieżą. To energia, ciekawość i świeże spojrzenie na uczniów świat sprawiają, że każdy dzień w szkole jest inny. Uwielbiam te momenty, kiedy widzę, jak uczniowie robią postępy, odkrywają swoje pasje i nabierają pewności siebie. Największą nagrodą jest, gdy absolwenci wracają, rozmawiają, wspominają lekcje – to pokazuje, że nasza praca ma sens.



A co z nowoczesnym podejściem do edukacji? Jak się rozwijasz, by sprostać wyzwaniom?

Staram się nieustannie poszerzać swoje kompetencje. Ukończyłam studia informatyki, koordynatora EVVO i ICT oraz studia dyrektorskie. Czytam książki z zakresu psychologii, zarządzania zespołem i nowoczesnych metod nauczania. Młodzież zmienia się bardzo szybko, a każde pokolenie wymaga indywidualnego podejścia, dlatego nauczyciele muszą się stale doszkalać. Wprowadzam innowacyjne metody pracy, wykorzystuję technologie, staram się, aby nauka była angażująca i inspirująca.

Wspomniałaś o współpracy z rodzicami. Jak wygląda to w Twojej szkole?

Wierzę, że kluczem do sukcesu jest ścisła współpraca między uczniem, nauczycielem i rodzicem. Na szczęście w naszej szkole mamy wielu wspaniałych rodziców, którzy angażują się w życie placówki. Organizują wydarzenia, wspierają nas w projektach i są w stałym kontakcie. Ich zaangażowanie jest nieocenione i daje uczniom poczucie wsparcia zarówno w domu, jak i w szkole. Niestety, zdarzają się również trudności, spotykamy się z tym, że niektórzy rodzice (trzeba podkreślić, że jest ich zdecydowanie mniej) nie czytają wiadomości, nie reagują na

prośby, a czasem nawet podchodzą do nauczycieli z agresją.

A jak oceniasz zmiany w zachowaniu uczniów?

Większość uczniów to zaangażowani, chętni do współpracy młodzi ludzie, którzy z ciekawością podchodzą do nauki i szanują zarówno nauczycieli, jak i szkolne otoczenie. Niestety, zdarzają się też wyjątki – osoby, którym brakuje motywacji, a ich podejście do obowiązków szkolnych bywa lekceważące. W niektórych przypadkach widzimy też oznaki braku szacunku czy niewłaściwego traktowania mienia szkolnego. Choć nie jest to zjawisko powszechne, z niepokojem dostrzegamy, że takie postawy pojawiają się coraz częściej. Dlatego tak ważne jest, byśmy jako nauczyciele nie tracili cierpliwości i wciąż szukali nowych sposobów na inspirowanie młodych ludzi i pokazanie im, że edukacja to inwestycja w ich przyszłość.

Brzmi, jakby praca ta wymagała ogromnej cierpliwości, zaangażowania i edukacji.

Tak, ale mimo wyzwań nie zamieniłabym jej na żadną inną. Każda trudność to okazja do nauki i rozwoju. Nie lubię mówić o problemach – wolę widzieć w nich wyzwania. Wierzę, że każdą trudność można rozwiązać lub złagodzić, dlatego w naszej szkole stawiamy na dialog i współpracę. Organizujemy konsultacje, warsztaty, spotkania z rodzicami i na bieżąco szukamy najlepszych rozwiązań.





ŁZY, PORAŻKI,
A CZASAMI
TAKŻE SUKCES

TEKST: IZABELA WACŁAWKOVÁ / ZDJĘCIA: DOROTA KIEDROŃ

Na Instagramie śledzi ją prawie sześć tysięcy osób, a jej profil stał się przestrzenią, w której przełamuje panujący trend idealizowania życia. – *Ludzie nie pokazują swoich porażek, raczej dzielą się tylko pięknymi chwilami* – mówi Dorota Kiedroń, studentka czwartego roku medycyny. Poza pasją do nauk o zdrowiu zgłębia również tajniki finansów, a swoją wiedzę chętnie dzieli się z obserwującymi, dostarczając im cennych informacji na temat zarządzania pieniędzmi.



Rozmawiamy teraz zdalnie, ponieważ jesteś chora. Jak jako studentka medycyny odbierasz rady swojego lekarza rodzinnego?

Ja mam świetnego lekarza rodzinnego. Chodzę do pani doktor Lucyny Škňouřil w Bystrzycy. Zawsze troszczy się o mnie – zarówno pod względem medycznym, jak i osobistym. Myślę, że kiedy człowiek przychodzi na kontrolę czy badanie, naturalnie wymienia kilka słów z lekarzem, i w ten sposób nawiązuje się pewna relacja. Śmieszne jest to, że zawsze odradzała mi studia medyczne.

Warto też dodać, że dopiero teraz, na czwartym roku studiów, zaczynam wyrażać sobie własne zdanie na temat różnych chorób. Wcześniej po prostu się uczyłam, ale nie do końca rozumiałam, jak wszystko funkcjonuje w praktyce.

A Ty zawsze marzyłaś o tym kierunku, o byciu lekarką?

No, był to zawsze jeden z tych kierunków, z których chciałam wybierać. W gimnazjum zastanawiałam się nad wyborem konserwatorium lub medycyny.

Interesująca kombinacja.

Kierunek, na który chciałam pójść do konserwatorium, po prostu przestał w Ostra-

wie istnieć. Podjęłam zatem decyzję, że skoncentruję się na medycynie. Zawsze fascynowały mnie sytuacje, w których ktoś wiedział, jak pomóc drugiej osobie. Chciałam wiedzieć, co robić w krytycznej sytuacji, a nie czuć się bezradna.

Czy udało Ci się dostać na uczelnię medyczną za pierwszym razem?

W gimnazjum miałam dobre oceny. Na medycynę składałam papiery dwa razy, ale za pierwszym razem dostałam się od razu dzięki wynikom w nauce. W Czechach istnieje system, w którym, jeśli ktoś ma średnią 1,01 albo 1,1, może dostać się na Pierwszy Wydział Lekarski bez egzaminów, pod warunkiem, że znajdzie się w odpowiednim rankingu. Ta opcja nadal istnieje i dotyczy Pierwszego Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Karola. Trzeci Wydział Lekarski również oferuje podobną możliwość, ale tam liczą się także osiągnięcia w olimpiadach na poziomie krajowym.

Dlaczego składałaś wnioszek dwa razy?

Za pierwszym razem dostałam się na Pierwszy Wydział Lekarski, ale po roku zdecydowałam się przerwać studia. Po prostu lato przyniosło wiele nieoczekiwanych sytuacji, które nie potoczyły się tak, jak powinny, i podjęłam decyzję o zakończeniu nauki. Zaczęłam wtedy pracować w szpitalu na Homolce, robiłam kurs sanitariusza i pracowałam na oddziale chirurgicznym za około dziewiętnaście tysięcy miesięcznie. Chciałam się upewnić, że naprawdę chcę spędzić kolejne sześć lat na studiach medycznych, ponieważ oznaczało to, że będę mieć dwa lata „w plecy”.

Po raz drugi musiałaś już zdawać egzaminy?

Tak, kiedy postanowiłam wrócić na medycynę, musiałam już zdawać normalne egzaminy wstępne. Wciąż miałam pewne dodatkowe punkty za dobre oceny, które

pomogły mi w rankingu, ale nie mogłam już skorzystać z opcji przyjęcia na podstawie średniej – ta możliwość jest dostępna tylko dla maturzystów z danego roku. Wzięłam pięć tygodni wolnego w pracy i w tym czasie uczyłam się do egzaminów. Zdążyłam przygotować się tylko z fizyki, a brakowało mi jeszcze chemii i biologii, ale jakoś się udało i ponownie dostałam się na Pierwszy Wydział Lekarski Uniwersytetu Karola w Pradze.

Na Instagramie publikujesz filmiki o studiach medycznych i finansach. Co Cię do tego zmotywowało?

Nigdy nie myślałam o Instagramie jako o czymś, czym mogłabym się zajmować. Ale na trzecim roku studiów nie zdałam jednego dużego egzaminu i musiałam powtarzać cały rok. Na naszym wydziale oznacza to, że przez cały rok uczysz się tylko jednego przedmiotu, a resztę czasu masz wolną.

Czyli miałaś sporo czasu?

Tak, i wiedziałam, że będę musiała zapłacić za ostatni rok studiów, więc zaczęłam szukać pracy. Chciałam czegoś nowego, poza służbą zdrowia, bo w tej branży już pracowałam i wiedziałam, co mogę robić bez tytułu. Zaczęłam interesować się finansami, bo mnie od zawsze do tego prowadził ojciec. Zaczęłam program szkoleniowy w dziedzinie finansów – poza inwestowaniem chodziło o kredyty hipoteczne i ubezpieczenia. To było dla mnie nowe, ale szybko mnie wciągnęło. Kiedy słuchałam o tych rzeczach, pomyślałam, że to niesamowite, że ktoś w moim wieku, dwadzieścia trzy lata, może nic o tym nie wiedzieć.

Jedno z Twoich pierwszych wideo dotyczy „generacji sandwichowej”. Co to takiego?

To termin oznaczający nasze pokolenie. Nasi rodzice są ostatnią generacją, która dostanie emeryturę na poziomie pozwalają-

jącym jeszcze na skromne życie, czyli około dwadzieścia tysięcy koron. Nasze pokolenie nie ma już tej pewności – tradycyjnie państwo „jakoś to załatwiało”, Czesi się do tego przyzwyczaili i nie chcą się angażować w takie sprawy, ale nasza generacja już nie będzie miała tego zabezpieczenia.

Czyli chodzi o to, że musimy się sami zabezpieczyć finansowo?

Tak. Jeśli nie zaczniemy myśleć o oszczędnościach na starość, to kiedy przyjdzie nasza kolej na emeryturę, okaże się, że nie mamy z czego żyć. A nasze dzieci, które same będą musiały dbać o swoją przyszłość, także będą musiały wspierać starsze pokolenie i jednocześnie dbać o swoje dzieci. Dlatego zostaną jak ta sałatka stłoczona między 2 kromkami.

Brzmi strasznie.

Tak, i to jest błędne koło – jeśli my teraz się nie zabezpieczymy, nasze dzieci też będą miały ten sam problem. Ale jeśli my podejmiemy odpowiednie kroki, one będą miały lepszy start.

Fajnie o tym wiedzieć, ale czy w ogóle w Czechach jest możliwe, żeby ktoś w naszym wieku (dwadzieścia parę lat) jakoś się zabezpieczał?

Chodzi o to, że tutaj ogromną rolę odgrywa czas. I to właśnie dlatego zaczęłam kręcić filmiki. Chciałam, żeby ludzie wiedzieli, że im wcześniej zaczną, tym łatwiej im będzie później. Bo na początku naprawdę wystarczy niewiele. Jeśli ktoś ma czterdzieści pięć lat do emerytury, to nawet tysiąc koron miesięcznie robi różnicę. A tysiąc koron – ja, na przykład, wydaję tyle na wino i chipsy. Każdy z nas ma coś, na co wydaje pieniądze. Wystarczy tylko przestawić priorytety.

A potem dołączyły do tego filmiki z życia studiów medycyny, które obecnie, powiedziałabym, dominują na twoim profilu.

Wszystko potoczyło się naturalnie – jedno wynikało z drugiego. Zaczęłam więcej nagrywać o swoim życiu. A ponieważ akurat byłam w sytuacji rocznej przerwy spo-

wodowanej niepowodzeniem na uczelni, zaczęłam o tym kręcić filmiki. Na Instagramie brakuje takiego *contentu* – ludzie nie pokazują swoich porażek, raczej dzielą się tylko pięknymi chwilami. To spowodowało, że zaczęli się do mnie odzywać. Mówili, że w końcu ktoś pokazał, że nie zawsze jesteśmy na najlepszym etapie życia. To był czysty przypadek. Teraz po prostu to kontynuuję. A ta moja początkowa myśl wynikała z tego, że chciałam podzielić się czymś, czego się dowiedziałam, bo wydawało mi się ważne, żeby inni o tym wiedzieli.

Piszą do Ciebie ludzie z branży biznesowej czy medycznej?

Większość komentarzy i wiadomości, które dostaję, dotyczy szkoły. Ludzie piszą do mnie, zwłaszcza kiedy przeżywają gorsze momenty. Często dziękują mi, że pokazałam, że płacz nie oznacza słabości, albo że motywuję ich, by się nie poddawali. Czasem jest odwrotnie – gdy pokazuję, że sama mam trudniejszy okres, dostaję wiadomości od osób, które na przykład trzy razy podchodziły do egzaminów dyplomowych i myślały, że cała uczelnia pójdzie na marne, a teraz świetnie sobie radzą. Wciąż jest tak, że niepowodzenia zdarzają się częściej niż sukcesy, tylko że ludzie tego nie widzą, bo się o tym tak rzadko mówi. I myślę, że fajnie jest mieć coś, co pozwala to zobaczyć.



W tym roku bardzo wiele osób aplikowało na studia medyczne, a przyjętych została tylko garstka. Dlaczego tak się dzieje?

Pierwsza Lekarska to największa uczelnia medyczna w Czechach i odpowiada na potrzeby ministerstwa. Ministerstwo naciska, ponieważ lekarzy jest za mało, więc z tego, co wiem, zwiększają liczbę przyjęć. Pozostałe uczelnie tego nie robią i na prawdę zgłasza się masa ludzi i jest bardzo trudno się dostać.

Kiedy zaczynałam studia medyczne, przyjęto nas sześćset, rok później już osiemset, a mam wrażenie, że w zeszłym roku było ponad tysiąc osób. Problem polega jednak na tym, że na drugim roku wciąż zostaje około pięciuset – sześciuset studentów. Czyli wielu i tak odpada.

Odpadają z tego powodu, że studia są dla nich za trudne czy po prostu odpadają, bo uczelnia ma określony limit, ilu studentów może przejść do następnego roku?

Dwa lata temu sprawdzałam statystyki – zastanawiałam się, czy profesorowie po prostu nie wyrzucają studentów przypadkowo. Okazało się jednak, że wzrasta liczba osób, które same rezygnują. Odsetek osób, które są wyrzucane, pozostaje mniej więcej taki sam.

Egzaminy wstępne są bardzo trudne, a każda uczelnia ma inne wymagania. Ja uczyłam się trzy miesiące tylko na Pierwszym Wydziale Lekarskim. Chciałam zdawać też na Drugi, ale kiedy spróbowa-

łam ich testów, czułam się jak „w lesie”. Każda uczelnia ma swoje modelowe testy i trzeba się uczyć konkretnie pod nie.

Niektóre uczelnie udostępniają książki z przykładowymi pytaniami, to bardzo pomaga, ponieważ egzaminy są testowe, wielokrotnego wyboru – strasznie trudne. Jeśli ktoś chce mieć największą szansę na dostanie się na medycynę, powiedziałabym, że Pierwszy Wydział Lekarski przyjmuje najwięcej osób. Jednocześnie jednak istnieje bardzo duże ryzyko, że ktoś nie przejdzie do drugiego roku. W innych miastach – w Ołomuńcu, Brnie czy Pilźnie – jeśli już ktoś się dostanie, to zazwyczaj studia dokończy.

Jak czujesz się na studiach, masz jakieś życie osobiste?

Mam, ale nie należę do najlepszych studentów. Gdybym się starała należeć do najlepszych, raczej bym go nie miała, bo presja na medycynie jest ogromna. Sposób, w jaki profesorowie traktują studentów na egzaminach, czasem każe się zastanawiać, czy to wszystko jest tego warte.

Myślę, że głównym problemem jest po prostu ogromna ilość materiału. Na medycynę idą osoby, które zawsze dobrze się uczyły lub lubiły się uczyć, a tu nagle okazuje się, że nie można wszystkiego umieć, że to nie jest możliwe. Osoby, które były przyzwyczajone, że zawsze wszystko potrafiły, muszą się z tym zmierzyć – a nie jest to łatwe.



A Ty się z tym zmierzyłaś?

Ja się tego ciągle nie nauczyłam. Człowiek dużo płacze, jest bardzo smutny, zestresowany. Znam wiele osób na szkole, które były w czasie egzaminów na antypresantach, albo mają zdrowotne problemy, które się pokazały w czasie studiów. U mnie na przykład wróciła atopowa egzema ze stresu. Dużo nas tam z czymś walczy.

W jakim kierunku chciałabyś kontynuować?

Ja od zawsze miałam skłonność do chirurgii, a od kilku lat – właściwie już od czterech – coraz bardziej interesuje mnie chirurgia plastyczna, szczególnie mikrochirurgia rekonstrukcyjna. Chodzi o przeszczepy u pacjentów onkologicznych, kiedy występują duże ubytki, np. na ręce, których nie da się po prostu zszyć. Wtedy pobiera się przeszczep skóry, a czasem także tkanki mięśniowej, w zależności od głębokości ubytku. Następnie preparuje się naczynia krwionośne – tętnice i żyły – i zszywa wszystko pod mikroskopem.

Teraz jednak, odkąd wkroczyłam w świat finansów, widzę, jak bardzo wiąże się to z aktualnymi problemami w ochronie zdrowia, zwłaszcza z finansowaniem placówek i wynagrodzeniami dla lekarzy. Dlatego zobaczę, dokąd mnie los zaprowadzi. Nie wiem jeszcze, czy bardziej zaangażuję się w ten obszar, czy jednak pójdę w stronę pracy manualnej jako chirurg.

Są wśród studentów medycyny osoby, które chciałyby zostać lekarzami rodzinnymi, czy też raczej uważają oni tę specjalizację za mało prestiżową?

Myślę, że kiedyś rzeczywiście uchodziła ona za mniej prestiżową. Ale moi koledzy – właściwie już lekarze, bo skończyli studia latem i pracują od pół roku – całkiem często wybierają właśnie ten kierunek, zwłaszcza kobiety. Wynika to z faktu, że medycyna stała się w dużej mierze sfeminizowaną dziedziną. Były roczniki, w których nawet 80 % studentów stanowiły kobiety, a tylko 20% mężczyźni. Rodzi to pewien problem, bo więcej lekarzy w przyszłości będzie korzystać z urlopów macieżeńskich. W efekcie brakuje lekarzy w szpitalach, a praca tam jest niezwykle wymagająca.



Lekarz rodzinny to z kolei całkiem atrakcyjna ścieżka – po ukończeniu studiów trzeba przejść trzyletni program specjalizacyjny, a potem zdać egzamin i uzyskać uprawnienia. W sumie już po czterech latach od ukończenia studiów można otworzyć własną praktykę i prowadzić gabinet w mieście, mając stałe godziny pracy i stabilny tryb życia. To coś, czego lekarze pracujący w szpitalach często nie mają.

Jakie są ryzyka pracy w szpitalu?

Po pierwsze, specjalizacje szpitalne trwają znacznie dłużej. Po drugie, dyżury w szpitalu nie mają regularnych godzin pracy. Czasem zdarza się, że kierunek, który mnie najbardziej interesuje, nie pokrywa się z życiem, jakie chciałabym prowadzić. Wtedy trzeba znaleźć kompromis – albo podążyć za karierą, mimo że to będzie trudne, albo wybiorę inną specjalizację, która pozwoli mi prowadzić życie, jakie sobie wymarzyłam.

Bycie chirurgiem i bycie matką nie jest niemożliwe, ale kluczową kwestią jest czas. Jeśli nie przeszkadza mi, że będę miała dzieci, ale nie będę mogła spędzać z nimi tyle czasu, ile bym chciała, to jest to do zaakceptowania. Teraz, mając dwadzieścia sześć lat, zaczęłam zdawać sobie sprawę, że muszę się na coś zdecydować.

W każdym razie, zawsze jest możliwość zmiany specjalizacji, nie?

Tak, na przykład ktoś długo chodzi na staże chirurgiczne, wydaje mu się, że to jest to, czego chce, ale po studiach, gdy zaczyna pracę jako lekarz, widzi, że to jednak nie to, co sobie wyobrażał. Praca lekarza różni się od pracy stażysty, a zmiany specjalizacji nie są rzadkością.



TRZY POKOLENIA - JEDNA KOPALNIA. GÓRNICZE TRADYCJE W RODZINIE PIOTRA TWARDZIKA

TEKST: SYLWIA GRUDZIŃ / ZDJĘCIE PORTRETOWE: GRZEGORZ PIASKOWSKI, POZOSTAŁE ZDJĘCIA: ALBUM RODZINNY PIOTRA TWARDZIKA

Stosunkowo rzadko pojawiają się w rubryce *Pamiętka rodzinna* zabytki związane z górnictwem. Dlatego cieszą się, gdy udaje się natrafić na tego rodzaju artefakty. Górnictwo, tak nierozzerwanie związane z historią Śląska Cieszyńskiego, powoli odchodzi już do przeszłości. Ponadto wydobywanie węgla w zagłębiu ostrawsko-karwińskim w znacznym stopniu ukształtowało styl życia i kulturę Dolan – mieszkańców takich miejscowości jak Karwina, Stonawa, Dąbrowa, Łazy, Darków czy Łąki. W zabytkach związanych z tą gałęzią przemysłu jest zakłęt świat, o którym niebawem będziemy już czytać tylko w książkach.

Do pana Piotra Twardzika z Czeskiego Cieszyna trafiłam przez jego żonę Halinę. Dwa lata temu w czerwcowym numerze „Zwrotu” ukazał się artykuł na temat wspomnień i pamiątek rodzinnych dziadków pani Haliny. Wówczas nie zdawałam sobie sprawy z tego, że mąż pani Haliny zgromadził całkiem pokaźną kolekcję przedmiotów związanych z górnictwem.

Pan Piotr całe swoje życie zawodowe spędził *na dole* – na kopalni, natomiast swoją kolekcję związaną z górnictwem, trzyma *na górze* – na strychu swojego domu w Czeskim Cieszynie. Można więc powiedzieć pół żartem, pół serio, że przedmioty te ze świata chthonicznego przewędrowały wraz z panem Piotrem w świat niebiański. To właśnie najwyższa kondygnacja domu

– za zgodą i błogostawieństwem żony – została zaadoptowana na małe domowe muzeum górnictwa.

Co w nim możemy znaleźć? Przede wszystkim kufle z karczm piwnych, kalendarze górnicze, śpiewniki pieśni górniczych, różnego rodzaju lampki górnicze (również zabytkowe), kaski, rzeźbione w drewnie kilofy pamiątkowe i wiele innych. Wśród rzeczy jest na przykład tzw. skóra, przez którą górnicy skaczą podczas *karczm piwnych*, by być przyjętym do braci górniczej. Skóra pochodzi z 1990 roku i jest wyjątkowa, ponieważ tata pana Piotra otrzymał ją od swoich kolegów z okazji sześćdziesiątych urodzin. Po tacie pana Piotra zachował się też piękny górniczy mundur galowy. Drugi taki posiada także pan Piotr.

Wśród zgromadzonych przedmiotów jest więcej przedmiotów związanych z *karczmą piwną* – tradycją, która tutaj jest nazywana *Skokiem przez skórę*. Jest na przykład kask policjanta piwnego, którego zadaniem jest roznoszenie piwa podczas *karczmy piwnej*, oraz zielona szarfa szefa stołu (tablicy) tzw. *Contrarium*, który odpowiada za swoją tablicę podczas imprezy.

– Podczas *karczm piwnych* (*Skoków przez skórę*) przyjmuje się do cechu górniczego młodych i nowych górników, ale i tych pracowników kopalni, którzy jeszcze nie byli do cechu górniczego przyjęci i wyrazili chęć „skakania”. W Polsce *karczmy* odbywają się 4 grudnia, czyli na Barbórkę, a w Czechach kiedyś na Dzień Górnika, który wypada 9 września. W ostatnich latach Skoki przez

Henryk Twardzik (1902–1979), lata 20–30. XX w.



Henryk Twardzik (1930–2006), 1950 rok.





Mały Piotr Twardzik na kolanach mamy.

Od lewej stoją: tata, dziadek i wujek, koło mamy siedzą: babcia, kuzynowie i ciocia

skórę były już organizowane w terminach grudniowych. Karczma piwna to tradycyjna impreza, która odbywa się na kopalniach według określonego rytuału. Na sali ustawione są długie stoły (tablice), przy których siedzą górnicy, piwo roznoszą piwni policjanci, każdego stołu pilnuje kierownik, tzw. Contrarium, który przepasany jest szarfą. Pod koniec karczmy, adepci mają za zadanie przejść próbę, czyli wchodzić na beczkę. Na niej wypijają kufel piwa – aby pokazać, że wypili cały, muszą położyć go sobie na głowie do góry dnem – następnie muszą powiedzieć jakieś hasło i skoczyć przez skórę, którą trzyma kierownictwo (prezydium) przed beczką. Następnie ktoś z kierownictwa kładzie adeptowi szablę na ramię i mówi, że przyjmuje go do cechu górniczego – opowiada pan Piotr.

Górnictwo ma pan Piotr we krwi – górnikiem był zarówno jego dziadek Henryk Twardzik (1902–1979) i tata – również Henryk Twardzik (1930–2006). Dziadek przez całe życie, aż do emerytury w wieku około sześćdziesięciu lat, pracował jako sztygar na kopalni Johanschacht w Karwinie – dziś jest to kopalnia ČSA – Důl Československé armády. Niestety dziś kopalnia jest w likwidacji. Tata pana Piotra z kolei studiował geologię i miernictwo w Wyższej Szkole Górniczej w Ostrawie (czes. VŠB). Po skończeniu szkoły w 1952 roku, pracował przez rok jako asystent na wydziale mierniczym WSG, potem przyjęto go do kopalni Dukla w Suchej Dolnej, gdzie między innymi pełnił funkcję dyrektora ekonomicznego. Następnie w 1959 roku w wieku 29 lat został dyrektorem kopalni Łazy (wtedy ta kopalnia nazywała się Zápotocký). Dyrektorem był do 1962 roku. Od 1962 do 1992 roku był z kolei dyrektorem ekonomicznym na kopalni ČSA – tej samej, na której pracował jego ojciec, czyli dziadek pana Piotra.

Pan Piotr wyrastał więc w rodzinie górniczej. Gdy stanął przed wyborem zawodu,

nie miał dylematów. – W 1968 roku poszedłem do Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego, ale nie do Orłowej, tylko już do Łazów. W 1971 zdawałem maturę. Sam zdecydowałem, że zostanę górnikiem. Do Ostrawy na WSG miałem blisko. Chciałem też podtrzymać tradycję rodzinną. Wyższą Szkołę Górniczą w Ostrawie skończyłem w 1976 roku i od razu poszedłem pracować na kopalnię ČSA. Pracowałem na różnych stanowiskach, również jako dyrektor wydobywania (výrobní náměstek), dwa razy byłem kierownikiem zakładu (czes. závodním dolu), raz na zakładzie Jan-Karol i raz na zakładzie Jindřich, które były częścią Kopalni ČSA. Byłem ostatnim kierownikiem na Jindřišce, bo potem zakład ten szedł do likwidacji. W 2003 roku zaproponowano mi stanowisko



Ojciec Piotra Twardzika, druga połowa XX w.



Piotr Twardzik jako młody górnik

w Obwodowym Urzędzie Górniczym w Ostrawie (czes. OBÚ), byłem inspektorem górniczym do 2020 roku, czyli ponad 16 lat. Byłem zastępcą kierownika działu. Przez krótki czas pracowałem jeszcze potem w firmie górniczej Alpex. W 2021 przeszedłem na emeryturę – wspomina mój rozmówca.

Pytam pana Piotra, czy jego praca wiązała się ze zjeżdżaniem na dół. – Wszystkie moje stanowiska były związane ze zjeżdżaniem na dół. Nawet musieliśmy określony procent czasu pracy przepracować na dole. Żeby wiedzieć, co się tam na dole dzieje, musieliśmy zjeżdżać. Miernicy, projektanci, pracownicy wentylacji i inne profesje – to są stanowiska, które wymagają dużo precyzyjnej pracy na powierzchni, ale trzeba było zjeżdżać na dół, żeby się zorientować, jak te roboty górnicze są prowadzone – wyjaśnia mój rozmówca.

Ponieważ jestem ciekawa, czy praca pod ziemią, bez dostępu światła dziennego, wpływa na człowieka, pytam o to mojego rozmówcę. – To jest kwestia przyzwyczajenia. Na przykład u nas, w zagłębiu karwińskim, były większością pokłady wyższe – mierzące od np. 1 do 5 metrów. Tam można było się normalnie poruszać. Ale w kopalni Pasków (czes. Paskov) były wyrobiska – ściany i półmetrowe, i nawet niższe. Nasi górnicy, źle się tam czuli, nie mogli uwierzyć, że ktoś może w takiej „dziurze” pracować. Gdy kopalnię Pasków zamknęli, to niektórzy górnicy stamtąd przeszli do nas, ale z kolei tutaj to oni bali się w takich wysokich pokładach pracować. Byli przyzwyczajeni do pracy na leżących lub na kolanach. Ale ogólnie rzecz biorąc, górnicy nie mają problemów ze zjeżdżaniem na dół. Człowiek się przyzwyczaja bardzo szybko – wyjaśnia pan Piotr.



Spotkanie z byłymi pracownikami kopalni Jindřiška – na środku Piotr Twardzik

Mój rozmówca przez większość swojego życia zawodowego był również ratownikiem górniczym, to oznacza, że w przypadku, gdy miał miejsce jakiś wypadek lub katastrofa, brał udział w akcjach ratowniczych. Brał również udział w zaplanowanych pracach, jak na przykład przewietrzanie zamkniętego chodnika czy ściany, albo przy robotach ścianowych dla odprężenia górotworu. Pytam o najtrudniejszą akcję, w jakiej brał udział. Opowiada bez namysłu o dwóch. – Najgorsza była ta ostatnia w kopalni ČSM, w grudniu 2018 roku. Tam doszło do wybuchu metanu i pożaru w wyrobisku ścianowym. W pierwszych dniach katastrofy mogli tam wejść tylko ratownicy ze stacji ratowniczej w Ostrawie (czes. HBZS). Potem doszło do odcięcia tego obszaru, żeby nie narażać ratowników na utratę zdrowia i życia. Zginęło wtedy 13 pracowników polskiej firmy i jeden Czech. Czesko-Polska Komisja dochodzeniowa składała się więc z przedstawicieli polskiej i czeskiej prokuratury, policji czeskiej i polskiej. Ja z kolegą zostałem członkiem tej komisji z ramienia Obwodowego Urzędu

Górniczego w Ostrawie, byli też z pracownicy urzędu górniczego z Rybnika (Polska). Dopiero po czterech miesiącach po wygaśnięciu pożaru w wyrobisku i udostępnieniu obszaru mogła komisja obejrzeć miejsce wypadku. – mówi pan Piotr.

– Pamiętam również wypadek w 1998 roku, kiedy zginął mój kolega, nota bene prezes Miejscowego Koła PZKO w Czeskim Cieszyńsku-Osiedle. To były dla mnie bardzo stresujące, wręcz traumatyczne przeżycia. Był to bliski kolega, a nic nie wskazywało na to, że podczas zaplanowanej akcji ratowniczej, polegającej na przewietrzaniu bardzo długiego chodnika, stanie się taka tragedia... – wspomina pan Piotr.

Na koniec pytam mojego rozmówcę, czy to prawda, że między górnikami występuje wyjątkowa solidarność? Czy rzeczywiście jest tak, jak można niejednokrotnie usłyszeć, że górnik może liczyć na kolegę górnika w każdej sytuacji? Pan Piotr odpowiada zdecydowanie i bez namysłu:

– Tak, między nami jest solidarność. Zawsze staramy się sobie pomóc. Jest też ważne, żeby pracować w grupie kolegów, którym się ufa, bo to od jednostki zależy, czy cała reszta wyjedzie na górę czy nie. Jedna osoba może spowodować taki wypadek, że reszta nie wyjedzie. Górnicy muszą być solidarni, muszą myśleć o innych, nie tylko o sobie. W kopalni trzeba mieć się zawsze na baczności. Na przykład wydaje nam się, że mamy wszystko opanowane, że o górnictwie wiemy już wszystko. A jednak nie. Jeżeli chodzi np. o tąpnięcia, to wiemy jak prowadzić przodki, ściany względem siebie w górotworze, by wzajemnie na siebie nie oddziaływały. Jest wiele zarządzeń mających na celu eliminację zagrożeń tąpnięciami, a pomimo tego dochodziło do tąpnięć, choć się nikt tego nie spodziewał. Jednak przyroda jest silniejsza niż my – podsumowuje mój rozmówca.



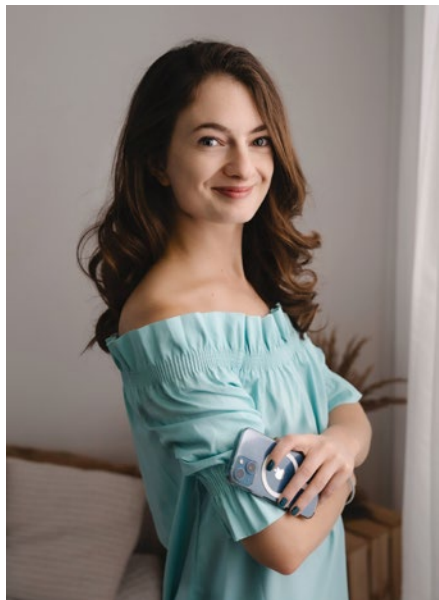
Byli pracownicy kopalni na dole – z prawej Piotr Twardzik

PODRÓŻAMI ZACZEŁAM SIĘ
PASJONOWAĆ OD WYJAZDÓW
Z CHÓREM SZKOLNYM TRALLALA,
OPOWIADA MIRKA VAŇKOVÁ



TEKST: IZABELA WACLAWKOVÁ / ZDJĘCIA: MIRKA VAŇKOVÁ

Najpierw organizowała wycieczki rodzinne, potem pisała blogi o różnych krajach, inspirując turystów. Dziś jej pasja stała się chlebem powszednim. Zajmuje się marketingiem małego biura podróży *Vsacan Tour* w Wsecinie i wspiera marki w promocji. Jako przewodniczka łączy pracę z tym, co kocha najbardziej – zwiedzaniem świata.



Studiowałaś dziennikarstwo, ale wybrałaś inną drogę. Co Cię do tego skłoniło?

Można powiedzieć, że doprowadziła mnie do tego potrzeba robienia czegoś kreatywnego, ponieważ dziennikarstwo, powiedzmy, nie zawsze jest tak kreatywne, jak bym chciała. Masz pełno reguł dotyczących tego, w jaki sposób możesz pisać, jaki masz limit znaków, a także określone zasady dotyczące formy tekstu. Dlatego skończyłam w marketingu. Właściwie pozostałam przy pisaniu, ale przeszłam do nieco bardziej kreatywnego rodzaju pisania.

Na czym polega praca w marketingu?

Właściwie mam swój własny mini biznes, powiedzmy, że pracuję jako freelancerka. Zajmuję się marketingiem dla biura podróży we Wsecinie, a czasami jeszcze dla kilku małych firm. Tworzę treści do mediów społecznościowych, piszę blogi i newslettery, czyli ogólnie zajmuję się całą komunikacją tych firm.

Co było dla Ciebie priorytetem przy wyborze tej pracy?

Kreatywność i swoboda w organizacji własnego czasu oraz możliwość wyboru firm,

z którymi chce współpracować, to dla mnie kluczowe aspekty pracy. Współpracuję z przedsiębiorstwami, które zajmują się tematyką bliską moim zainteresowaniom lub oferują produkty, pod którymi mogłabym się podpisać. Nie podjęłabym pracy dla firmy sprzedającej tytoń, dla kasyna ani podobnych biznesów – chcę, aby moja praca przynosiła efekty, które sama chciałabym widzieć w świecie. Dlatego obecnie współpracuję z marką kosmetyków naturalnych oraz biurem podróży, ponieważ w tym przypadku idealnie łączą się moje dwie największe pasje – marketing i twórcza praca związana z komunikacją w branży turystycznej.

Czy praca w marketingu i PR nie ogranicza kreatywności, skoro trzeba zawsze pokazywać markę w dobrym świetle?

Oczywiście zależy to od tego, jaka to jest marka i w jakim kierunku prowadzi swoją komunikację, a także co dokładnie chce przekazywać i w jaki sposób. Są marki, które oferują produkty, powiedzmy, mało kreatywne – na przykład, gdybym miała sprzedawać gwoździe, to nie bardzo wiedziałabym, o czym pisać. Z kolei małe marki często starają się zaoferować swoim klientom coś więcej, ponieważ muszą konkurować z dużymi firmami. Właśnie dlatego w takich przypadkach kreatywność jest kluczowa – pisze się blogi, często o charakterze lifestyle'owym, aby klienci trafili na nie w sieci i sami zainteresowali się ofertą.

Możesz pokazać to na konkretnym przykładzie?

Przykładowo, jeśli ktoś wyszukuje w Internecie informacje o Bośni i Hercegowinie, bo widział o niej film w telewizji i chce dowiedzieć się więcej, może natknąć się na blog naszego biura podróży. Przeczyta tam ciekawe fakty o tym miejscu, a na końcu artykułu znajdzie przycisk, który przekieruje go na stronę biura. I tak, krok po kroku, może zdecydować się na zakup wycieczki.

Na jakie tematy lubisz pisać?

W przypadku destynacji turystycznych można pisać niemal o wszystkim, od ciekawostek architektonicznych, przez lokalną gastronomię, aż po kulturę. Na przykład w Indonezji w marcu obchodzony jest balijski Nowy Rok – Nyepi. Całe Bali na jeden dzień dosłownie zamiera – nikt nie wychodzi z domu, nie działa elektryczność, a policja pilnuje, by mieszkańcy przestrzegali zasad. Wierzą bowiem, że dzień wcześniej wypędza się złe duchy z wyspy, a jeśli następnego dnia będzie wyglądała na opuszczoną, duchy nie będą chciały tam wrócić i odlecą dalej.

To są właśnie te ciekawostki, które normalnie nie przysłyby nikomu do głowy, a moim zadaniem jest przekazywanie ich ludziom w Czechach. To naprawdę super, a przy okazji przyczynia się do zysków marek, z którymi współpracuję.

Jak organizujesz sobie pracę? Domyślam się, że nie masz stałego harmonogramu godzin.

To zależy od ustaleń z daną marką. Na przykład w przypadku tego biura podróży większość pracowników zajmuje się organizowaniem wyjazdów. Połowa ich pracy to rezerwowanie hoteli, zamawianie transportu i dbanie o logistykę, a druga połowa



to praca przewodników dla swoich klientów. Dlatego biuro to funkcjonuje trochę inaczej niż standardowe, gdzie pracownicy przychodzą o 8:00 i kończą o 16:00. Gdy jesteś na wyjeździe, praca właściwie się nie kończy – od 6 rano jesteś na nogach, o 7 jest śniadanie, o 8 wyjazd, cały dzień przekazujesz klientom informacje o odwiedzanych miejscach, a jeśli zajdzie taka potrzeba, pomagasz im np. znaleźć aptekę czy rozwiązać inne problemy. Nawet wieczorem może się zdarzyć telefon z pytaniem o niedziałającą ciepłą wodę w pokoju.

Ty robisz i marketing, i przewodnika?

Tak. Ciekawie się to połączyło, bo w marketingu pracuję od około trzech lat na pełen etat – a właściwie prowadzę swój własny mini marketingowy biznes od dwóch lat. Zawsze lubiłam podróżować, więc naturalnie wpasowało się to w moją drogę zawodową.

Pasjonowałam się podróżowaniem od wyjazdów z chórem szkolnym *Trallala*. Później pracowałam jako *au pair* na Majorce, a następnie wyjechałam na Erasmusa – najpierw na Cypr, a potem na Teneryfę. Tam poznałam kolegę, który dużo podróżował, i zastanawiałam się, skąd ma na to środki. Okazało się, że pracuje jako przewodnik dla biura podróży. Spytałam go, czy nie byłoby tam dla mnie miejsca – i było.

Od czerwca ubiegłego roku pracuję jako przewodniczka, a z czasem zaczęłam też zajmować się marketingiem biura podróży. Po rozmowie z właścicielem biura, doszliśmy do wniosku, że przyda mu się świeższy, bardziej nowoczesny marketing. Od tamtej pory to ja się tym zajmuję.

Jak wybierasz miejsca, które pokazujesz turystom?

Większość miejsc jest już wcześniej wybrana przez biuro podróży, ponieważ każdy wyjazd ma swojego tzw. *gwaranta*. To osoba, która organizuje cały wyjazd i wyznacza interesujące miejsca do odwiedzenia. Przewodnik, jadąc na wyjazd po raz pierwszy, otrzymuje gotowy harmonogram z wcześniej ustalonymi punktami programu. Może jednak wprowadzać pewne zmiany – coś dodać lub pominąć, dopasowując trasę do własnych doświadczeń i preferencji. Ma możliwość wzbogacenia go o mniej znane, alternatywne miejsca, które nie są typowo turystyczne. Może również zaproponować inne do-

świadczenia, na przykład polecić świetną restaurację w danym mieście.

Ale historię danego miejsca i wszystkie rzeczy, o których opowiadasz, musisz już sama przestudiować?

Tak, dokładnie. Szczególnie jeśli ktoś jest przewodnikiem po raz pierwszy albo dopiero zaczyna działać w zorganizowany sposób. Bo dla rodziny czy znajomych już od kilku lat jestem takim „mini przewodnikiem”.

Widziałam, że pisałaś jakąś książkę przewodnikową, czy coś takiego?

Książkę nie, ale prowadziłam osobiste blogi o różnych destynacjach. Opisywałam tam trasy, podawałam harmonogramy i doradzałam, co warto zobaczyć. Na przykład pisałam, jak zorganizować wycieczkę do Norwegii – gdzie wypożyczyć samochód, gdzie coś zjeść, ile to kosztuje itp.

Jeśli chodzi o wyjazdy organizowane przez biuro podróży, to podstawowy program jest już ustalony. Natomiast moją rolą jest przygotowanie się merytorycznie – zdobycie wiedzy na temat historii, architektury, przyrody, gastronomii czy kultury danego miejsca. To wymaga dużo czasu, niekiedy nawet dziesiątek godzin przygotowań przed każdym wyjazdem.

A potem przez cały czas jesteś ze swoją grupą?

Mniej więcej tak. To zależy od harmonogramu wyjazdu. Większość programów jest bardzo intensywna – na przykład podczas wyjazdu poświęconego miejscom UNESCO w Polsce w ciągu pięciu dni przejeżdżamy przez cały kraj. Każdego dnia odwiedzamy dwie lub trzy różne destynacje. Przykładowo: pierwszego dnia zwiedzamy Wrocław, po południu jedziemy do Trzebnicy, a wieczorem docieramy na nocleg do Poznania.





Drugiego dnia przed południem zwiedzamy Poznań, po południu Toruń.

W takich wyjazdach jest niewiele czasu wolnego, ale staramy się zapewnić go uczestnikom przynajmniej na godzinę lub półtorej każdego dnia. Są też jednak wyjazdy z mniej napiętym programem – na przykład z jednym dniem intensywnego zwiedzania i kolejnym dniem wolnym, podczas którego uczestnicy mogą odpoczywać na plaży, spacerować po mieście, kupować pamiątki czy próbować lokalnych specjałów, a przewodnik może się trochę zrelaksować.

Jakie destynacje cieszą się obecnie największą popularnością?

To zależy od klientów. Starsze roczniki preferują autokarowe wyjazdy po Europie, najczęściej do Polski. Zainteresowanie Polską wśród Czechów rośnie, zwłaszcza w starszym pokoleniu, które coraz chętniej odkrywa polską architekturę i kulturę. Dodatkowym atutem jest przystępna cena i łatwa dostępność. Polska zawsze sprzedaje się jako pierwsza. Oprócz tego dużą popularnością cieszą się Bałkany, zwłaszcza Bośnia i Hercegowina, Albania oraz Macedonia – miejsca niedrogie, ale niezwykle interesujące.

A wśród młodszych roczników?

Wśród młodszych roczników najpopularniejsze są już nieco dalsze kierunki. Mamy na przykład Indonezję, Wietnam, Kambodżę, Islandię, Teneryfę, Maderę i właściwie wszystkie wyspy Atlantyku. W tym roku pojawiły się także wyspy egzotyczne w Afryce, jak Zanzibar, Wyspy Zielonego

Przylądka czy Seszele. Zatem oferta jest naprawdę szeroka.

Mówiłaś, że pracujesz dla małego biura podróży. Czy takie małe biuro może konkurować z gigantami, takimi jak Čedok, Fisher, Invia?

Na pewno nie pod względem ceny, bo te wielkie biura mają własne hotele i wynajmują w nich 10–20 pokoi przez cały rok. Małe biura podróży zazwyczaj organizują tylko jeden wyjazd do danej destynacji w ciągu roku lub dwóch, więc nie optają się rezerwować miejsc w hotelach na cały rok. Z tego powodu ceny są wyższe, ale za to takie biura oferują bardziej osobiste podejście do klienta. Cały wyjazd jest bardziej kameralny – przewodnik ma swoją małą grupkę, którą opiekuje się praktycznie 24 godziny na dobę.



W dużych biurach podróży, na takich wyjazdach zazwyczaj jest delegat, który spędza całe lato w jednym hotelu, gdzie mieszkają turyści. Klienci, jeśli potrzebują pomocy, idą do delegata. W przypadku małych biur wycieczki są bardziej krajoznawcze, łączące zwiedzanie z odpoczynkiem na plaży, przez to klienci mogą w krótszym czasie zobaczyć znacznie więcej.

Cena może być wyższa, ale jeśli ktoś chciałby samodzielnie pojechać przykładowo do Bośni i Hercegowiny, zwiedzać wszystkie interesujące miejsca, mieszkać w hotelach i jeść dwa razy dziennie, na pewno zapłaciłby więcej.

Musiłaś kiedyś podczas pracy przewodnika wyjść ze swojej strefy komfortu?

Praktycznie każdy wyjazd jest w pewnym stopniu wyjściem ze strefy komfortu. Na-



wet gdy jechałam tylko na jednodniowy wyjazd do Krakowa na targi świąteczne, musiałam wstać o 3 w nocy, żeby dotrzeć na miejsce do Ostrawy, skąd odjeżdżał autobus. To duża zaleta tego biura podróży, że ma wiele punktów wyjazdowych – praktycznie na całej Morawie i Śląsku – dzięki czemu klienci oraz przewodnicy mogą wsiąść do autobusu blisko swojego miejsca zamieszkania.

Czy widzisz tę pracę jako swoją przyszłość? Czy da się ją połączyć z życiem rodzinnym?

To na pewno zależy od sytuacji rodzinnej przewodnika. Jeśli jest się kobietą i chce się mieć rodzinę, to oczywiście trzeba liczyć się z przerwą w pracy. Rozmawialiśmy o tym z mężem i nie widzi on problemu w tym, żebym po pewnym czasie wróciła do wyjazdów. Może nie będą to długie, dwutygodniowe podróże na drugi koniec świata, ale na przykład krótsze, trzy- cztery tygodniowe wycieczki. Wszystko da się pogodzić, jeśli partner jest wyrozumiały i cieszy się, że ta praca sprawia mi radość.

W każdym razie masz jeszcze marketing. Wydaje się, że tę pracę można wykonywać również z domu, prawda?

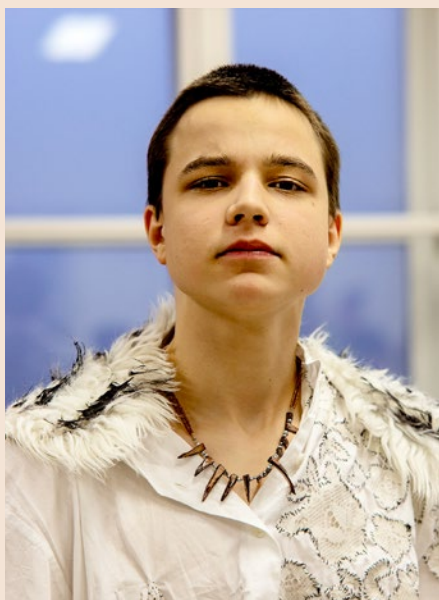
To był właściwie jeden z powodów, dla których założyłam własny biznes w marketingu. W dużych biurach i korporacjach trudno połączyć urlop macierzyński z pracą. Są kobiety, które cieszy fakt, że mogą spędzić trzy lata w domu z dzieckiem, ale to raczej nie dla mnie. Chciałam mieć coś własnego, co pozwoli mi pracować elastycznie – przy dzieciach lub z różnych miejsc na świecie.



CHARYTATYWNY POKAZ MODY KWIAT MORWY

W OBIEKTYWIE MARIANA SIEDLACZKA

13 MARCA 2025, STRZELNICA, ORGANIZATOR: UCZNIOWIE POLSKIEGO
GIMNAZJUM IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO W CZESKIM CIESZYNIE





ZBIGNIEW HERBERT I HENRYK ELZENBERG: *KIM STAŁBYM SIĘ, GDYBYM CIĘ NIE SPOTKAŁ – MÓJ MISTRZU HENRYKU?*

TEKST: RENATA PUTZLACHER, ZDJĘCIA: WIKIPEDIA

Pisałam już o Lwowie, rodzinnym mieście Zbigniewa Herberta, w którym spędził pierwsze dwadzieścia lat życia. Tu poznał bezpośrednio oblicze sowieckiego i hitlerowskiego totalitaryzmu. Pod koniec marca 1944 roku, w obawie przed powtórным wkroczeniem Armii Czerwonej do Lwowa, Herbertowie nie mając już żadnych złudzeń co dalej nastąpi, opuścili miasto. Rodzina osiadła w podkrakowskich Proszowicach.

Joanna Siedlecka w biografii *Pan od poezji* tak pisze o młodym Herbercie: *Nazywany był Dziubdziusiem, ze względu na swój humor, albo Kangurkiem, bo miał kieszonkę wypchaną książkami i ciągle coś czytał, czymś się interesował, kochał się uczyć.* Przyszły poeta, tak jak wielu młodych w tamtym czasie, studiował kilka kierunków. Zdawał do szkoły aktorskiej, plastycznej i handlowej – przyjęto go do wszystkich. Wybrał jednak zgodnie z wolą ojca, który pragnął, by syn zdobył jakiś porządną zawód, studia ekonomiczne

w Akademii Handlowej w Krakowie. Rok później został studentem prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, a gdy rodzina Herbertów przeniosła się do Sopotu, kontynuował studia na nowo otwartym uniwersytecie w Toruniu.

Dekret Rady Ministrów z dnia 24 sierpnia 1945 roku o utworzeniu toruńskiego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika (który 11 września zatwierdziło Prezydium Krajowej Rady Narodowej) zamykał prawie 550-letnie starania o szkołę wyższą na ziemiach pomorskich. Do Torunia przenieśli się po wojnie pracownicy Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, a także Jana Kazimierza we Lwowie i w pierwszych latach swojego istnienia uczelnia słynęła z wysokiego poziomu. Tu Zbigniew Herbert ukończył w 1949 roku studia prawnicze.

Pracował wówczas nad *Jaskinią filozofów* – akcja sztuki rozgrywa się w Atenach za czasów Sokratesa i ukazuje ostatnie trzy dni greckiego filozofa. Zafascynowany wykładami prof. Henryka Elzenberga, swego późniejszego mistrza duchowego i przyjaciela, został przyjęty od razu na drugi rok filozofii UMK.

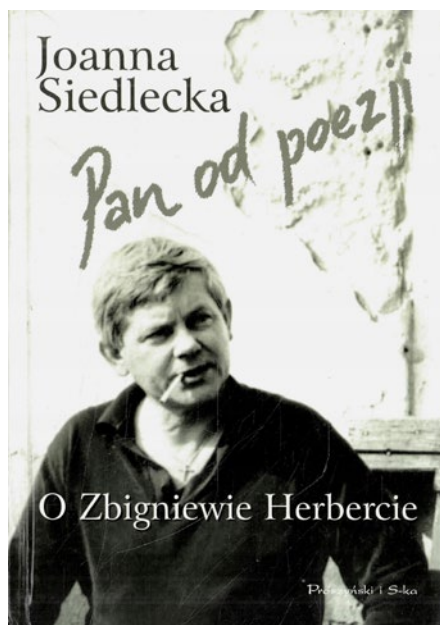
* * *

Barbara Toruńczyk tak pisze w postwowie do wydanej w 2002 roku *Korespondencji* Zbigniewa Herberta i Henryka Elzenberga:



Herbert był studentem. U swojego wykładowcy szukał lekcji filozofii. Obaj rozumieli tę naukę w specjalny sposób. Elzenberg, cieszący się w II Rzeczypospolitej renomą wybitnego i oryginalnego myśliciela, był nie tyle uczonym z profesorskim tytułem, ile przede wszystkim mistrzem życia, mentorem. Nie wpajał dogmatycznych prawd i nakazów. Poddawał swoich uczniów filozoficznej inicjacji. Rozwijał w nich smak swobody, umysłową niezależność.

Henryk Elzenberg (1887–1967) był filozofem i nauczycielem, wybitnym znawcą historii literatury, estetyki i etyki. Jego poglądy cechowały uczciwość, niezależność i odwaga, nic więc dziwnego, że filozof stał się mistrzem poety, przewodnikiem po świecie myśli i wartości. Po latach Herbert





O wyznawcach nowej ideologii, którzy *myślą młotem*, Herbert pisał w przywołanym już wcześniej wierszu *Do Henryka Elzenberga w stulecie Jego urodzin*, w którym wzrusza stoicka postawa pokrzywdzonego profesora-filozofa:

*patrzyłeś na nich
przez lekko zatławione okulary
wzrokiem który wybacza i nie powinien
wybaczyć*

Zbigniew Herbert od chwili porzucenia studiów podejmował się różnych zajęć. Próbował utrzymywać się z pracy pióra, publikował recenzje teatralne, muzyczne, ale nie chciał drukować swoich wierszy w okresie socrealizmu. Jego debiutem poetyckim był tom *Struna światła*, opublikowany w 1956 roku, już na fali tzw. odwilży. W tomie tym znalazł się m. in. wiersz *Do Marka Aurelego*. Ponieważ Herbert przeniósł się po rozbiciu wydziałów toruńskiej humanistyki do Warszawy, pozostawał z profesorem Elzenbergiem, któremu wiersz zadedykował, tylko w listownym kontakcie. Na jednej z pocztówek, znalezionych w archiwum, przedstawiona jest konna sylwetka Marka Aureliusza, niczym symbol dawnego świata pełnego ładu i harmonii, skazanego na zagładę.

Czytając raz jeszcze wiersz, opowiadający o filozofie na tronie, trafiłam na stronę dyskusyjną, gdzie czytelnicy dzielą się swoimi interpretacjami:

Opisuje on moment, kiedy czasy jednostek wybitnych (jak Aureliusz) odchodzą w przeszłość wobec nacierających miernot, dyktatury prostactwa i przeciętności, czasów, kiedy w cenie jest nie mądrość, ale prostactwo, barbarzyńskość...

Odwieczne wartości przegrywają z egoizmem, chaosem, bezprawiem, a ludzie stają się coraz bardziej zagubieni. A my... czy nie jesteśmy tego właśnie procesu świadkami?

Warto wracać (również w niespokojnym XXI wieku) do poezji tego pisarza o biografii tragicznie uwikłanej w historię XX wieku.

Cytaty pochodzą z następujących publikacji:
Zbigniew Herbert, *Wiersze zebrane* (2021)
Zbigniew Herbert, Henryk Elzenberg, *Korespondencja* (2002)
Joanna Siedlecka, *Pan od poezji* (2002)

pytał w bardzo osobistym wierszu *Do Henryka Elzenberga w stulecie Jego urodzin*: *Kim stałbym się, gdybym Cię nie spotkał – mój Mistrzu Henryku?* i stwierdzał:

*Byłbym do końca życia śmiesznym chłopcem
który szuka
Zdyszonym małowównym zawstydzonym
własnym istnieniem
chłopcem który nie wie*

Herbert zawdzięczał mu nie tylko znajomość kultury starożytnej, lecz również nieugiętą postawę w trudnych, ponurych czasach stalinizmu.

*Żyliśmy w czasach które zaiste były
opowieścią idioty
pełną hałasu i zbrodni
Twoja surowa łagodność delikatna siła
uczyła jak mam trwać w świecie niby
myślący kamień
Cierpliwy obojętny i czuły zarazem*

Wiele już napisano o szczególnej relacji uczeń-mistrz łączącej początkującego poetę i filozofa. Bliska jest mi postawa Elzenberga, który przez całe życie pisał utwory poetyckie i uważał się *bardziej za artystę niż uczonego*. Był on jednym z pierwszych czytelników wierszy i esejów Herberta, który dzięki temu spotkaniu zaczął szukać swojego oryginalnego języka poetyckiego i zastanawiać się nad tym, czym jest i czym powinna być poezja w tym szczególnym momencie dziejów Polski i Europy. Wiersz młodego poety *Do Marka Aurelego* jest dedykowany prof. Henrykowi Elzenbergowi nieprzypadkowo: w 1921 roku uzyskał on na Uniwersytecie Jagiellońskim habilitację z estetyki, etyki i historii filozofii na podstawie pracy *Marek Aureliusz. Z historii i psychologii etyki*.

Marek Aureliusz, cesarz rzymski od 161 roku, nazywany filozofem na tronie, prowadził skromne, spokojne życie zgodne z surowymi zasadami stoickimi. Miał też

głębokie poczucie obowiązku służenia krajowi i obywatelom, sprawował bowiem rządy w trudnych czasach. Był to okres klęsk żywiołowych (wylew Tybru, głód, rozruchy uliczne, pożary, plaga szarańczy, epidemia dżumy) i nieustających wojen. Głównymi wrogami Rzymu były wtedy plebiona germańskie i Partowie. W wierszu *Do Marka Aurelego* barbarzyńcy stają się symbolem upadku kultury antycznej:

*To niebo mówi obcą mową
To barbarzyński okrzyk trwogi
którego nie zna twa łacina
To lek odwieczny ciemny lęk
o kruchy ludzki łąd zaczyna
bić I zwycięży Słyszysz szum
to przypływ Zburzy twe litery
żywiołów niewstrzymany nurt
aż runą świata ściany cztery*

Herbert w swoich utworach nawiązywał do tradycji antycznej, aby przeciwstawić się intelektualnej i moralnej marności komunizmu. Biografowie podkreślali też, że dla Elzenberga marksizm był propozycją nieretelnej filozofii i odrzucał go całkowicie. Sam też został w 1950 roku, gdy przemiany dotarły na uniwersytet, odsunięty przez komunistyczne władze od zajęć dydaktycznych za *niepoprawny idealizm*. Program studiów uległ diametralnej zmianie, a kadra starej, przedwojennej profesury uległa rozbiciu.





BEZ WAHANIA POLECİŁABYM TEN WYJAZD KAŻDEMU

WIKTORIA KOWALCZYK MÓWI O SWOIM
DOŚWIADCZENIU Z PROJEKTEM ERASMUS+

TEKST: IZABELA ADÁMEK / ZDJĘCIA: ARCHIWUM WIKTORII KOWALCZYK

Wiktoria wyjechała na projekt Erasmus+ w trakcie studiów i spędziła aż 10 miesięcy w Portugalii. Jak sama mówi, był to czas pełen niezapomnianych przeżyć i nowych doświadczeń. Projekt Erasmus+ ocenia bardzo pozytywnie, podkreślając, że wyjazd dał jej nie tylko cenne wspomnienia, ale także nauczył ją samodzielności. Bardzo polubiła Portugalię i w przyszłości na pewno chciałaby tam wrócić.

Kiedy pojawił się pomysł, by wyjechać za granicę w ramach projektu Erasmus+?

Zawsze chciałam wyjechać za granicę w trakcie studiów wyższych. Już w szkole średniej miałam okazję uczestniczyć w krótkich projektach Erasmus+, więc wiedziałam, że na wyższej uczelni na pewno będę chciała skorzystać z tej możliwości.

Okazja do wyjazdu pojawiła się już podczas moich studiów licencjackich, jednak wówczas zdecydowałam się z niej nie skorzystać. Dopiero w trakcie studiów magisterskich byłam pewna, że wyjadę. Początkowo planowałam spędzić w Portugalii pół roku, ale ostatecznie przedłużyłam wyjazd i zostałam na cały rok. Była to naprawdę świetna decyzja.

Mogłabyś wytłumaczyć, jak działa ten projekt?

Erasmus działa tak, że szkoły partnerskie mają między sobą podpisane umowy i wysyłają do siebie studentów na podstawie kierunków studiów. Po pewnym czasie umowy te są aktualizowane w zależności od tego, czy uczelnie nadal chcą współpracować. Program jest finansowany przez



Unię Europejską, co jest naprawdę świetne. Koszty, które są pokrywane, zależą od kraju, do którego się wyjeżdża, oraz od tego, z jakiego państwa pochodzisz.

Jak wygląda cały proces, który trzeba przejść, aby wyjechać na projekt Erasmus+?

Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że na każdej uczelni może to wyglądać nieco inaczej. Niektóre szkoły mają dodatkowe testy lub rozmowy kwalifikacyjne. Na mojej uczelni proces wyglądał tak, że najpierw podeszliśmy do testu z języka angielskiego, a potem odbyliśmy rozmowę z koordynatorami projektu Erasmus+. Podczas rozmowy pytano nas o powody, dla których chcemy wyjechać, dokąd planujemy się udać, oraz czy jesteśmy aktywni w jakichś projektach w ramach szkoły. Muszę jednak powiedzieć, że sama rozmowa nie była trudna – wystarczyło jasno wyjaśnić, dlaczego chcemy wyjechać. Na naszej uczelni cały proces nie był skomplikowany, ale sądzę, że na innych uczelniach również nie jest to zbyt trudne.

Co dzieje się dalej po zakwalifikowaniu do projektu Erasmus+?

Skontaktuje się z tobą zagraniczna uczelnia, do której wyjeżdżasz. Będziesz komunikować się zarówno samodzielnie, jak i za pośrednictwem koordynatorów projektu, aby ustalić szczegóły. Musisz wybrać

przedmioty, które będziesz realizować za granicą, a ich wybór musi zostać zatwierdzony przez twoją uczelnię. Warto dodać, że sposób ich uznawania może się różnić w zależności od instytucji. W moim przypadku wszystkie zostały zaliczone, jednak niektóre placówki wymagają dodatkowych egzaminów zarówno za granicą, jak i po powrocie na macierzystą uczelnię.

To już wszystko, czy trzeba jeszcze coś załatwić?

Kiedy wszystkie przedmioty zostaną zatwierdzone, podpisuje się **Learning Agreement** – kluczowy dokument w ramach programu Erasmus+. Jest on wymagany zarówno na początku, jak i na końcu wyjazdu. Oprócz tego należy dopełnić innych formalności, takich jak ubezpieczenie,

które trzeba przestać do obu instytucji. Warto również zadbać o organizację transportu – w moim przypadku uczelnia oferowała na ten cel wsparcie finansowe.

Brzmi to całkiem skomplikowanie...

Wygląda na takie, ale w rzeczywistości nie jest to aż tak trudne. Na naszej uczelni organizowano nawet seminaria dotyczące wyboru przedmiotów, co bardzo ułatwiło cały proces. Naprawdę nie ma się czym martwić!

Kiedy zastanawiałaś się, do jakiego kraju wyjechać, brałaś pod uwagę inne możliwości, czy od razu wiedziałaś, że chcesz wyjechać do Portugalii?

Podczas studiów licencjackich planowałam wyjazd do Danii, ale z różnych powodów





ostatecznie do niego nie doszło. Gdy jednak ponownie podjęłam decyzję o wyjeździe, wybrałam Portugalię, ponieważ program obejmował semestr zimowy. Uznałam, że w Danii będzie wtedy zbyt zimno, a dodatkowo koszty życia są tam dość wysokie. Stypendium z programu Erasmus+ było identyczne dla obu krajów, więc Portugalia wydała mi się lepszą opcją. Dodatkowym argumentem było to, że nigdy wcześniej nie byłam nad oceanem, co jeszcze bardziej przekonało mnie do tej decyzji. Ostatecznie właśnie tam postanowiłam wyjechać.

Jak przebiegały twoje pierwsze dni w nowym kraju?

Myślę, że dużą rolę odegrało to, że nie jechałam sama – podróżowałam z dwoma

chłopakami z Czech. Gdy wyjeżdża się w pojedynkę, stres jest zdecydowanie większy, a niepewność co do tego, czego się spodziewać, może być przytłaczająca. Na miejscu trzeba załatwić wiele spraw, a pierwsze dni bywają chaotyczne. W moim przypadku było jednak inaczej, ponieważ dzięki znajomej, która rok wcześniej studiowała w Portugalii, mieliśmy już wcześniej zorganizowane zakwaterowanie. Podała nam kontakt, a resztę formalności załatwiliśmy z wyprzedzeniem.

Dodatkowym udogodnieniem było to, że podróżowaliśmy samochodem, co znacznie zwiększyło komfort wyjazdu. Mogliśmy zabrać wszystko, co było nam potrzebne, a po przyjeździe skoncentrować się na sprawach związanych z uczelnią, takich jak dokumenty czy ustalenie harmonogramu zajęć.

W jakim mieście odbywały się twoje studia w ramach Erasmus+?

Byłam w Coimbrze – dużym, studenckim mieście położonym między Porto a Lizboną. Jest wyjątkowe, ponieważ to właśnie tam znajduje się najstarszy uniwersytet w Portugalii, a całe życie miasta koncentruje się wokół studentów. Coimbra słynie z silnych tradycji akademickich, które są widoczne przez cały rok.

Jednym z charakterystycznych zwyczajów jest uroczyste przyjęcie dla nowych studentów, odbywające się w pierwszym tygodniu roku akademickiego. W tym czasie starsi studenci noszą czarne płaszcze, a nowo przyjęci muszą wykonywać różne zadania. Atmosfera jest niezwykle specyficzna, a kulminacją studenckich tradycji jest wielki festiwal pod koniec roku. Jego częścią jest symboliczny rytuał,





podczas którego studenci pierwszego roku skaczą do rzeki. Wydarzeniu towarzyszą koncerty i liczne atrakcje, przyciągające także gości z innych miast.

Jak wyglądała nauka w Portugalii? Czy różniła się od tej w Czechach?

Na pewno wiele zależy od uczelni, ponieważ każda instytucja ma własne podejście do studentów zagranicznych. W moim przypadku, jako że studiowałam na uczelni prywatnej, wszystkie przedmioty były prowadzone po portugalsku.

Na szczęście w pierwszym semestrze nie byłam tam sama – miałam dwóch kolegów z Czech, więc wszystkie testy i prezentacje przygotowywaliśmy po angielsku. Zawsze można dogadać się z wykładowcami, którzy zazwyczaj są pomocni wobec studentów Erasmusa. W drugim semestrze moi znajomi z Czech już wyjechali, ale na szczęście poznałam przyjaciółkę, która wspierała mnie przy wszystkich projektach. Część z nich realizowałam po angielsku, a czasem także po portugalsku, jednak testy nadal mogłam pisać w języku angielskim.

Czy podczas pobytu nauczyłaś się trochę portugalskiego?

Portugalski to ciekawy język i szczerze mówiąc, myślałam, że uda mi się go trochę nauczyć, zwłaszcza że w szkole oferowano kurs. Jednak jako że była to prywatna

uczelnia, kurs był płatny, więc ostatecznie nie zdecydowałam się w nim uczestniczyć. W rezultacie raczej nie nauczyłam się portugalskiego, ale wcale mi to nie przeszkadza. Potrafię jedynie zamówić kawę.

Co najbardziej podobało ci się w tym państwie?

Podobała mi się tam naprawdę spokojna atmosfera. Portugalczycy są ogólnie bardzo przyjaźni, dzięki czemu czułam się bezpiecznie. Kraj jest malowniczy, a jego położenie nad oceanem sprawia, że przyroda wygląda zupełnie inaczej niż u nas. Jednocześnie Portugalia w pewnym sensie przypomina Czechy, więc nie czułam się tam ograniczona, co było dla mnie dużym atutem.

Udało ci się w ramach tego wyjazdu zwiedzić Portugalie?

Dzięki temu, że w pierwszym semestrze mieliśmy samochód, mogliśmy swobodnie podróżować, gdzie tylko chcieliśmy, co okazało się ogromnym ułatwieniem. Portugalia jest niewielkim krajem i pod względem społeczno-ekonomicznym dość podobnym do Czech, więc wszystko było stosunkowo blisko.

Udało nam się zwiedzić kraj od Porto aż po południowe wybrzeże Algarve. Zobaczyliśmy naprawdę wiele, a odległości między miejscami były niewielkie. Odwiedziliśmy także Hiszpanię, a ponieważ Portugalia ma swoje wyspy, wybraliśmy się również na

Azory i Maderę. W drugim semestrze udało mi się dodatkowo polecieć do Maroka, ponieważ bilety lotnicze były bardzo tanie.

A jakieś minusy też zauważyłaś?

Spędzając tam cały rok, przekonałam się, że zimą pogoda bywa dość deszczowa, a ze względu na bliskość oceanu także bardzo wilgotna. Większość domów nie ma ogrzewania, co sprzyja pojawianiu się pleśni, dlatego musieliśmy kupić przenośne grzejniki. Zima nie była taka jak u nas – teoretycznie temperatury były dość wysokie, ale przez prawie dwa miesiące padało niemal bez przerwy. Ubrania nie schły, a w domach panował chłód, co sprawiło, że praktycznie każdy z nas przynajmniej raz zachorował – prawdopodobnie właśnie z tego powodu. Dlatego mogę powiedzieć, że choć myślałam, że w Portugalii, ze względu na położenie nad oceanem, będzie ciepło przez cały rok, to rzeczywistość okazała się inna.

Zdarzył się też moment, który był dla ciebie szczególnie trudny?

Na pewno tak. Kiedy zdecydowałam się zostać w Portugalii na kolejny semestr, moi dwaj koledzy z Czech musieli wrócić, ponieważ byli o rok młodszy i pisali prace licencjackie. Mimo to postanowiłam zostać, choć obawiałam się, czy poradzę sobie na uczelni sama – we trójkę wszystko szło znacznie łatwiej.



Początkowo było trudniej i miewałam chwile smutku, ale z czasem poznałam nowych ludzi, a sytuacja zaczęła się poprawiać. Dziś jestem wdzięczna, że zdecydowałam się zostać na kolejny semestr.

A na odwrót, gdybyś miała wybrać jakiś najlepszy moment ze swojego pobytu?

To naprawdę trudne pytanie, ponieważ spędziłam tam aż 10 miesięcy, czyli naprawdę dużo czasu, i przeżyłam wiele wspaniałych chwil. Myślę jednak, że najważniejszym aspektem całego wyjazdu byli ludzie, których tam poznałam, ponieważ to właśnie na nich opiera się cały projekt Erasmus.

Miałam ogromne szczęście, bo spotkałam wielu fantastycznych znajomych i wierzę, że pozostaną w moim życiu na długo. Wciąż się spotykamy, co jest świetne, ponieważ Erasmus nie kończy się wraz z powrotem do domu. Bardzo podobało mi się również podróżowanie, a samo miasto, w którym studiowałam, zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Studencka kultura i wyjątkowa atmosfera były niesamowite, a Portugalczycy okazali się niezwykle przyjaźni, dzięki czemu łatwo było się wpasować w tamtejszą społeczność.

Nie przyszło ci do głowy choć raz, że chciałabyś tam zostać na stałe?

Szczerze mówiąc, chyba nie. Bardzo mi się tam podobało i na pewno chciałabym wró-

cić, ale nie jestem pewna, czy mogłabym tam mieszkać na stałe. Portugalia jest dość daleko, a w niektórych aspektach życie toczy się tam w znacznie wolniejszym tempie.

Ludzie podchodzą do wielu spraw z dużym luzem, co oczywiście ma swoje konsekwencje – wszystko trwa dłużej. Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że sprawy załatwia się od razu, a usługi działają sprawnie. Tam jest inaczej – na przykład na zamówioną paczkę czekało się nie dwa dni, lecz dwa tygodnie, i nawet wtedy nie było pewności, że rzeczywiście dotrze na czas.

Patrząc na ten wyjazd z innej perspektywy, co dał ci on osobiście? Czego cię nauczył, co wyniosłaś z tego doświadczenia?

Na pewno samodzielność. Nauczyłam się organizować sobie życie w obcym kraju, w obcym języku, bo nie wszędzie w Portugalii mówiono po angielsku. Ogólnie samo życie w innym kraju to dobre doświadczenie. Rozwiązywałam też pewne problemy na odległość – na przykład, kiedy byłam chora, było to naprawdę trudne. Myślę, że nauczyłam się również doceniać bardziej to, co mam w domu.

Czy trudno było Ci wyjechać z Portugalii i wrócić do domu?

Ponieważ spędziłam tam sporo czasu, czułam, że nadszedł moment, aby wrócić

do domu. Cieszyłam się na spotkanie z rodziną i przyjaciółmi, ale jednocześnie trudno było mi opuścić tę bezstresową atmosferę, którą Portugalia ma w sobie – wiedziałam, że będzie mi jej brakować.

Najtrudniejsze było jednak pożegnanie się z przyjaciółmi, których tam poznałam. Było to smutne, ale jednocześnie miałam poczucie, że przyszło we właściwym momencie. Myślę, że te dziesięć miesięcy w pełni mi wystarczyło.

Gdybyś miała komuś powiedzieć, dlaczego warto wyjechać na projekt Erasmus+, co byś odpowiedziała?

Na pewno powiedziałabym, żeby jechał, bo naprawdę warto. To niesamowita okazja, by przeżyć coś nowego – poznać mnóstwo ludzi, nauczyć się samodzielności i funkcjonowania w nowym środowisku.

Oczywiście mogą zdarzyć się trudniejsze momenty, chwile smutku, ale mimo wszystko jestem przekonana, że to doświadczenie, które zapamiętasz do końca życia. Przyjaźnie nawiązane podczas tego programu są wyjątkowe – choć trwają stosunkowo krótko, relacje są bardzo intensywne. Jeśli trafisz na wspaniałych ludzi, rozstanie może być trudne, ale i tak będzie to niezwykle przeżycie.

Dlatego bez wahania poleciłabym ten wyjazd każdemu.



WYRASTAŁAM W DOMU, W KTÓRYM SZANOWAŁO SIĘ TRADYCJE

ROZMOWA Z KRYSTYNĄ MUCHĄ

TEKST I ZDJĘCIA: SYLWIA GRUDZIŃ

Krystyna Mucha z Mostów koło Jabłonkowa otrzymała niedawno tytuł Mistrza Tradycyjnej Produkcji Rękodzielniczej nadawany przez województwo morawsko-śląskie. Laureatka jest jedynym w województwie producentem tzw. *strużoków*, czyli sienników z żytniej słomy, wytwarzanych tradycyjnymi metodami. Umiejętność tę przekazuje również swoim dzieciom, zachowując w ten sposób tradycyjne rzemiosło dla przyszłych pokoleń. Na temat tradycji góralskich, ekologii i rękodzielniczej wytwórczości rozmawiamy z laureatką nagrody.

Co to są właściwie te *strużoki*?

Strużok to materac, który jest wypchany słomą. Kiedyś się na nim spało. Zanim ludzie mogli sobie kupić współczesne materace, takie jakie znamy dziś, spali na *strużokach*. *Strużok* to nazwa gwarowa, po czesku to jest *slamník*, po polsku – *siennik*, i rzeczywiście w Polsce sienniki były wypchane zarówno słomą, jak i sianem.

Jak pani wpadła na pomysł, żeby wyrabiać *strużoki*?

Pewnego razu byłam zmuszona wymienić stary materac, którego używaliśmy w swoim łóżku. Był to zwykły materac ze sprężynami. Zastanawiałam się więc, na co ten stary materac w ogóle wymienić. I strzeliło mi do głowy, dlaczego by nie *strużok*? Jako małe dziecko spałam na takim mate-

racu u rodziców. Pamiętałam, że spało się na nim bardzo dobrze. Rodzice jeszcze bardzo długo używali *strużoków*. Przychodziłam do nich jako mała dziewczynka, kładłam się w te wyleżane wgłębienia, gdzie można się było schować, i było mi dobrze. I tak mi przyszło do głowy, że może taki *strużok* byłby najlepszy. Przy czym w tym czasie nikt takich materaców

nie robił. Więc doszłam do wniosku, że zrobię je sobie sama. Rodzice oczywiście wiedzieli jak je zrobić, słomę mieliśmy, płótno kupiłam i w ten sposób zrobiłam swój pierwszy *strużok*. Od tamtego czasu śpię na *strużoku*.

To rzeczywiście bardzo ciekawe, że rodzice jeszcze używali sienników. Kiedy to dokładnie było?

Rodzice spali na *strużokach* do mniej więcej 1992 roku. Spali na nich ze względów zdrowotnych, uważali też, że są one dla nich najwygodniejsze. Nasza rodzina znana była w szerokiej okolicy z tego, że pielęgnuje stare tradycje. Dziadek miał problem z alkoholem i dlatego używało się u nas przy pracy bardzo długo prostych narzędzi. Nie było z czego kupić nowych. Dopiero mój tata kupił traktor.

Wracając do *strużoków*, może to też wynikało z tego, że rodzicom dobrze się spało, więc nie czuli potrzeby ich wymieniania na zwykłe materace?

Tak, to na pewno, poza tym zużyty materac trzeba wymienić cały. W *strużokach* wystarczy wymienić od czasu do czasu słomę. Pokrowiec na *strużok* wystarczy wyprać, zacerować dziurki, jeśli jakieś są, i wypchać świeżą słomą. My wypychamy *strużoki* słomą z krzycy, która jest o wiele

mocniejsza niż zwykła słoma. Ona dobrze trzyma kształt i wytrzymuje dłużej. Jeżeli śpi się na takim *strużoku* każdej nocy, to do pół roku trzeba go dopchać nową słomą – bo stara się jednak wyleży. Raz na trzy lata trzeba całą słomę wymienić.

Co jest potrzebne do tego, żeby powstał *strużok*?

Trzeba mieć oczywiście słomę. Można użyć każdej słomy – z owsa, z pszenicy, z żyta. Jednak trzeba uważać, bo gdy się użyje krótkiej słomy – a to jest najpowszechniejsza teraz słoma, bo teraz jest taki trend, żeby uprawiać zboże modyfikowane, żeby było jak najkrótsze – to ta słoma prędzej się wyleży i będzie po prostu kłuła. My mamy słomę z krzycy o długości 180 cm. Potem docinamy ją według potrzeby.

Czyli państwo uprawiają krzycę sami?

Mało kto uprawia w dzisiejszych czasach tak wysokie zboże, więc musimy sami sobie je uprawiać, żeby mieć dobrą słomę. Gdy zboże wyrośnie, trzeba je ręcznie skosić, bo gdybyśmy skosili je kombajnem, słoma byłaby potamana. Potem trzeba je wymłócić, żeby nie było w *strużoku* zboża. No a potem trzeba wypchać pokrowiec słomą. Czyli wszystko robimy ręcznie. Pokrowce też szyję sama z płótna bawełnianego.

Czy udaje się pani jakieś *strużoki* sprzedać?

Oczywiście jest możliwość zamówienia u mnie *strużoka*. Jednak nie ma aż takiego zainteresowania nimi. Ludzie nie są do tego przyzwyczajeni. Trochę się tego obawiają, bo nie wiedzą, co to jest. Ci którzy u mnie zamawiają *strużoki*, to ludzie, którzy starają się żyć w zgodzie z naturą. Miałam też parę zamówień do muzeów na ekspozycję.

Mam taką refleksję, że taki *strużok* może też być świetnym rozwiązaniem dla osób, które starają się generować jak najmniej odpadów. W materacu jest wiele różnych materiałów: kokos, pianka, metal, końskie włosie, lateks, część z nich się praktycznie nie rozkłada.

No tak. W *strużoku* wszystko się rozkłada. Słomę można dać na kompost, można ją spalić, to się samo rozłoży.

Jakie są zalety spania na *strużoku*? Czym takie spanie się różni od spania na materacu?

Spanie na *strużoku* jest na pewno zdrowsze. Słoma jest przewiewna, powietrze może swobodnie cyrkulować. *Strużoki* są też zdrowsze dla pleców, ponieważ są twardsze od zwykłych materaców. *Strużoki* są też higieniczne. Na materacach śpi się nawet dłużej niż dziesięć lat, bo są prze-





śmy wierzący, więc wiele z tych zwyczajów odnosi się do wiary. W Wielki Piątek na przykład chodzimy myć się w potoku. Zawsze u nas tak było, nie przypominam sobie, żebyśmy któregoś roku zapomnieli się obmyć w potoku na Wielki Piątek. Czasami dzieci narzekają, że muszą wstać rano i iść się obmyć, ale udaje mi się je przekonać, żeby chociaż umyły sobie symbolicznie ręce. Przed świętym Janem chodzimy po polach i wkładamy gałązki z leszczyny na ochronę przed czarami. Odkąd pamiętam, tak się u nas robiło. Dzisiaj będziemy piec *krepliki* (przyp. red. – pączki), bo są ostatki. Na św. Jadwigę mamy w Mostach wielkie święto – odpust. Schodzi się do nas cała rodzina i pieczemy *kapuśniki*, czyli naszą wersję placka z kapustą. Po Wigilii zostawiamy resztki pokarmów na stole aż do drugiego dnia świąt. A potem te resztki rozrzucamy na pole, żeby je poświęcić. Na Wigilię odkrawamy też piątkę z chleba przy dzieleniu się opłatkiem i zostawiamy ją dla zwierząt.

cież bardzo drogie, jest też problem z ich utylizacją, w *strużokach* możemy wymienić słomę w każdej chwili. Jest to też prymitywny materac pamięciowy – bo słoma jest wyleżana w tym miejscu, w którym jesteśmy ciężsi. Jak nam to przeszkadza, to oczywiście możemy znowu przetrzepać *strużok*. Trzeba jednak mieć na uwadze, że nie wszystkim taka forma spania będzie odpowiadać. Ci, którzy lubią spać na miękkim, nie wyspią się na *strużoku*.

Jaka była pani reakcja na nagrodę?

Byłam zaskoczona już wtedy, gdy skontaktowano się ze mną telefonicznie, żeby mnie poinformować, że zostałam nominowana. Nie spodziewałam się jednak, że wygram. Bardzo się cieszyłam z tej nagrody. Samo jej wręczenie było też bardzo miłe, urząd bardzo ładnie to przygotował. Fajne było również to, że wśród gości było bardzo dużo osób autentycznie zainteresowanych.

Żeby zajmować się produkcją rękodzielniczą, trzeba mieć jednak zamiłowanie do tradycji, dawnego sposobu życia.

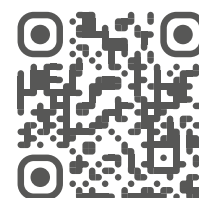
Tak, oczywiście, ja się dawnymi zwyczajami interesuję od małego. Wyrastałam też w takim domu, w którym szanowało się tradycję, więc takie podejście jest dla mnie naturalne. Taki styl życia chcę również przekazać moim dzieciom, żeby w każdych warunkach umiały o siebie zadbać. Żeby wiedziały, jak się uprawia zboże, skąd się bierze mięso, że chleb się sam nie upiecze, że ziemniaki same się nie ugotują. Chciałabym, żeby wiedziały, jak o te podstawowe rzeczy zadbać.

A jakie inne dawne tradycje są jeszcze podtrzymywane w państwa rodzinie?

Jak każda rodzina, mamy swoje zwyczaje bożonarodzeniowe i wielkanocne, które związane są z rokiem liturgicznym. Jeste-



**Z nami nic Ci
nie umknie!**



zwrot • cz/newsletter/

**Polskie informacje z Zaolzia
dwa razy w tygodniu
w Twojej skrzynce mailowej**



NASZE
KLUBY

KLUB AKTYWNEGO EMERYTA W GRÓDKU

REALIZACJA MARZEŃ, NA KTÓRE DAWNIEJ NIE BYŁO CZASU

TEKST: BEATA INDI TYRNA / ZDJĘCIA: BEATA INDI TYRNA, ARCH. MK PZKO GRÓDEK

Przy Miejsowym Kole PZKO w Gródku działa Klub Aktywnego Emeryta. O jego działalności, spotkaniach i planach na przyszłość rozmawiamy ze Stanisławem Wolnym – kierownikiem Klubu.

Od kiedy istnieje Klub Aktywnego Emeryta przy Miejsowym Kole PZKO w Gródku?

Klub oficjalnie powstał końcem 2023 roku, a jego działalność rozpoczęła się z początkiem roku 2024.

Czy wcześniej w Kole funkcjonował klub seniora?

Nie, to pierwsza taka inicjatywa w naszym Kole.

Już sama nazwa klubu wskazuje na jego charakter. Jak wpisujecie się w tę aktywność?

Oczywiście słowo aktywny nie znalazło się w nazwie przypadkowo. Chcieliśmy od razu zaznaczyć, że nie zamierzamy tylko siedzieć i rozmawiać, ale przede wszystkim spędzać czas aktywnie.

Tworzymy grupę rówieśników na emeryturze, którzy mają więcej wolnego czasu i chcą go spędzać w ciekawy i aktywny sposób. Wcześniej praca, później obowiąz-





ki związane z wnukami. A teraz nadszedł czas, żeby poświęcić trochę uwagi także sobie. Dlatego postanowiliśmy, że poniedziałki będą naszym dniem spotkań.

Właśnie miałam pytać czy spotkania się regularnie?

Tak, minimum raz w tygodniu, w poniedziałki. W sezonie zimowym mamy więcej czasu, więc dodatkowo organizujemy spotkania także w środy. W poniedziałki gramy w rzutki, a w środy w ping-ponga. Do tego dochodzą inne aktywności, które urozmaicają nasz harmonogram.

Jakie na przykład?

Zimą oprócz rzutek i ping-ponga organizujemy wyjazdy na kręgle. Kilka razy byliśmy też w termach. Regularnie odwiedzamy baseny w Turczańskich Teplicach na Słowacji. Wyrobiliśmy sobie karty emeryta uprawniające do darmowych przejazdów słowackimi pociągami, więc podróżowanie nie stanowi problemu, bo taka wycieczka jest dla nas tańsza.

W zeszłym roku spróbowaliśmy również gry w golfa – nikt z nas wcześniej nie miał takiego doświadczenia, ale jeden z naszych kolegów gra regularnie i zaprosił nas na pole golfowe. Bardzo nam się spodobało, więc w tym roku planujemy powtórzyć tę inicjatywę. Nasz kolega Marian Sztuła zabrał nas też na spacer po Cieszynie. Przeszliśmy dawną trasą tramwaju, byliśmy w pracowni pana Wałgi, który produkuje znane strzelby Cieszyнки, podziwialiśmy ładnie przedsięwziętynie ozdobiony rynek.

Ilu członków liczy obecnie klub?

Na ten moment dwanaście osób. Każdy bierze udział w tych zajęciach, które mu najbardziej odpowiadają. Komunikujemy się przez WhatsApp – zawsze na ostatnim spotkaniu umawiamy się na kolejne i ustalamy szczegóły. Przed każdym spotkaniem wysyłam też do wszystkich zgłoszonych informacje o tym, co planujemy, gdzie i o której godzinie się spotykamy.

Mówiliśmy o zimowych spotkaniach. A jak wyglądają wasze letnie aktywności?

Latem przede wszystkim jeździmy na rowerach. Wszyscy mamy rowery elektryczne, co pozwala nam pokonywać dłuższe dys-

tanse. Pogoda decyduje, którego dnia ruszamy. Jeśli w poniedziałek jest kiepsko, przesuwamy wyjazd na inny dzień. Przejeżdżamy po około 60 kilometrów dziennie. Zawsze wyjeżdżamy rano i zazwyczaj wracamy na obiad. Byliśmy już m. in. u źródeł Olzy, w browarze w Wojkowicach, na Praszywej, a także w Istebnej i Konia-kowie.

Czy planujecie jakieś nowe inicjatywy?

Tak, na przykład postanowiliśmy zorganizować **Bal Seniora**. W Gródku mamy dwa polskie bale: Macierzy i PZKO. Ale są one przeznaczone raczej dla młodszych. Poza tym my, starsi, często wtedy zajmujemy się wnukami, żeby rodzice mogli się bawić na balu. Pomyśleliśmy więc, że zrobimy imprezę specjalnie dla nas. Zaplanowaliśmy ją na ostatni dzień karnawału, na wtorek 4 marca. Rozpoczynamy już po południu i kończymy około 21:00–22:00. Będzie to bal w stylu dawnych zabaw tanecznych, z tradycyjną żywą muzyką i przestrzenią ciszy na rozmowy pomiędzy blokami muzycznymi.

To coś nowego w Gródku?

Tak, ogólnie w naszym rejonie to rzadkość. Dodatkowo mamy w planie ciekawą atrakcję – scenkę Pochowanie Basa przygotowaną przez członków MK PZKO w Karwinie-Raju. To taki symboliczny koniec karnawału. Zobaczmy, jak się to przyjmie.





Jest pan przewodniczącym Klubu Aktywnego Emeryta. Może Pan opowiedzieć, jak klub powstał?

Był to pomysł byłych prezesów naszego Koła PZKO Pawła Pilcha i mój. Byłem prezesem PZKO w Gródku, ale przekazałem stery młodszemu, którzy mają nowe pomysły i chcą działać po swojemu. Młode pokolenie ma inne podejście do komunikacji, organizacji – działa przez Facebooka i inne nowoczesne metody. My nie chcemy im się wtrącać, więc stworzyliśmy coś własnego – klub dla seniorów.

Czy w klubie są tylko panowie?

Nie, zapisane są też trzy panie, ale jeszcze nie uczestniczyły w spotkaniach. Na razie więc spotykamy się w męskim gronie. Ale to nie jest założenie, a po prostu aktualnie

tak wyszło. Udział może wziąć każdy chętny bez względu na wiek i płeć.

Jakie jeszcze macie plany na przyszłość?

Chcemy pojechać na rowerach do ujścia Olzy do Odry. U źródeł już byliśmy, więc teraz pora na drugą stronę rzeki. Poza tym wciąż szukamy nowych miejsc. Okoliczne tereny już dobrze poznaliśmy, więc planujemy podjeżdżać samochodami kawałek dalej, a dopiero później ruszać rowerami.

Mówił Pan, że latem wasze spotkania są rzadsze. Czyżbyście wszyscy mieli pola lub ogródki?

Tak, mieszkamy przecież na wsi i większość z nas ma gospodarstwa. Latem jest

więcej pracy w ogródkach, przy zwierzętach. Ale i tak staramy się regularnie spotykać, choć częstotliwość bywa mniejsza, niż zimą.

Dlaczego warto angażować się w takie inicjatywy?

Po pierwsze – spotykamy się ze znajomymi. Jak człowiek przejdzie na emeryturę, to nagle zostaje w domu, często sam i potrzebuje towarzystwa. Po drugie – aktywność fizyczna. Trzeba się ruszać dla zdrowia. No i po trzecie – realizacja marzeń, na które dawniej nie było czasu. Możemy spróbować nowych rzeczy, jak np. gra w golfa, o której wspominałem.

Informacje o naszej działalności można śledzić na naszych stronach internetowych www.pzkogrodek.





[1] Dagmar Kluz – prezes Miejsowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w RC przed Domem PZKO w Trzanowicach

SPACERY ZWROTU Z PREZESAMI MIEJSCOWYCH KÓŁ PZKO:

TRZANOWICE

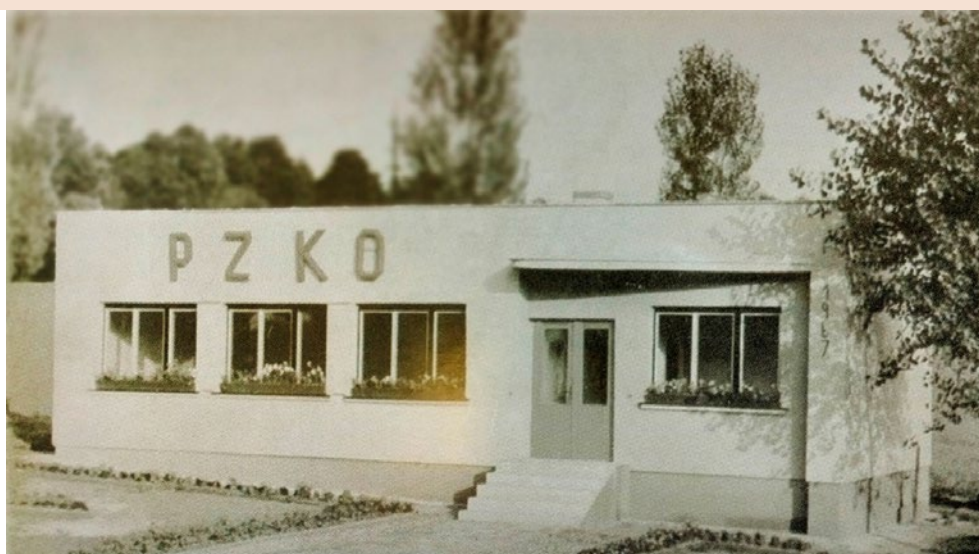
TEKST I ZDJĘCIA: BEATA INDI TYRNA



Na spacer po Trzanowicach zabrała mnie Dagmar Kluz (fot. 1) – prezes tamtejszego Miejsowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w RC. Moja przewodniczka jest rodowitą trzanowiczką. – *Moji rodzice wybudowali tutaj dom. Ja urodziłam się już tutaj, w Trzanowicach. Jak wyszłam za mąż, to przez 10 lat mieszkaliśmy w Hawierzowie, w mieszkaniu w bloku. Ale później wróciliśmy z mężem do Trzanowic. Wybudowaliśmy dom obok mojego domu rodzinnego. Czuję się bardzo związana z Trzanowicami. Bardzo je lubię. Znam dużą część mieszkańców. Jest nas w Trzanowicach około 1050 mieszkańców. Jak patrzyłam na ostatnie statystyki, to było ponad 330 domów. Choć Trzanowice są małą wsią pod względem ilości mieszkańców, zajmują dość duży obszar, ponieważ jest tutaj dużo lasów, pól, działek rolniczych.*

Spacer zaczynamy przy Domu PZKO znajdującym się na tyłach budynku Urzędu Gminy. Dojechać tu możemy zarówno autobusem, jak i samochodem. Jeśli przyjechalibyśmy autobusem, to wysiadamy na przystanku Trzanowice, skrzyżowanie (Tranovice, križ.), czyli tuż przy Urzędzie Gminy. Jeśli natomiast samochodem, to zaparkować możemy na parkingu w pobliżu Urzędu Gminy.

[2] Archiwalne zdjęcie Domu PZKO w Trzanowicach pochodzące z wydanej przez MK PZKO folderu ►





[3] Zejście przy rondzie na ścieżkę edukacyjną



[4] Tablice informacyjne ścieżek edukacyjnych

DOM PZKO

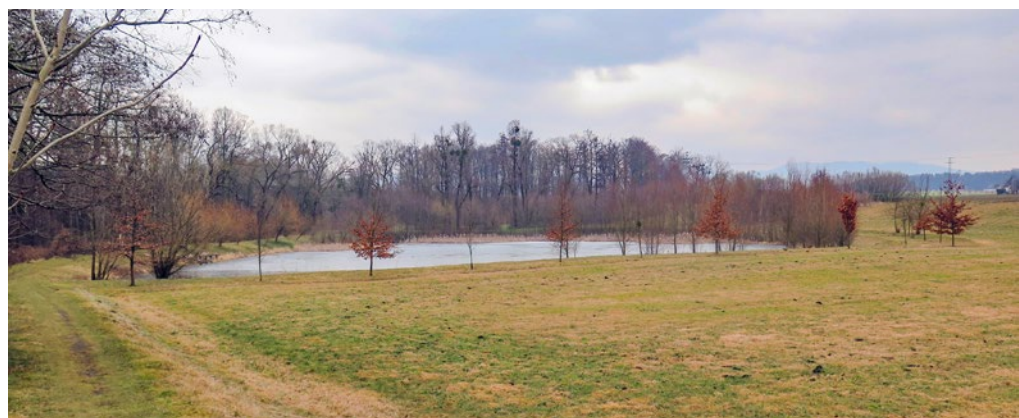
– *Miejscowe Koło PZKO zostało założone 7 grudnia 1947 r. Po wojnie grupa ludzi narodowości polskiej, którzy tu mieszkali, chcieli się spotykać. Chcieli zachować polską kulturę. Założyli więc Miejskowe Koło PZKO. Spotykali się w gospodzie U Wanoka, która już nie istnieje. Pierwszym prezesem był pan Niemczyk. Przełomowy był rok 1965. Wtedy pod hasłem 20 świetlic na 20-lecie PZKO został wybudowany przez członków PZKO i ich kolegów Dom PZKO (fot. 2). Uroczyste zostało otwarte 3 września 1967. A na pięćdziesięciolecie wybudowania tego domu został wyremontowany. Duży remont obejmujący przebudowę i modernizację rozpoczął się w roku 2016. Uroczyste otwarcie odnowionego domu PZKO miało miejsce 7 maja 2017 roku. Remont wsparło województwo morawsko-śląskie, gmina, Wafarex, sponsorzy... – opisuje historię Domu PZKO Dagmar Kluz. Dodaje, że z budynku korzystają także osoby prywatne wynajmując go chętnie na różne imprezy. – Sala w naszym Domu PZKO mieści 40 do 50 osób. Tak więc większe imprezy organizujemy w sali Gminy, która pomieści około 120 osób. Z Gminą i starostą mamy bardzo dobrą współpracę, co bardzo ułatwia nam działalność. Gdy potrzebujemy większej sali, to korzystamy z tej w budynku Gminy, a jak gmina potrzebuje mniejszej, to korzysta z naszej. Teraz mamy w zespole tanecznym czternaścioro młodych, siedem par, i nie mieszczą się już na próbach w naszej sali, więc mamy tę wygodę, że mogą korzystać z tej dużej, gminnej – dodaje. Wyjaśnia, że budynek Urzędu Gminy oraz sąsiedni również przeszły gruntowną przebudowę. – Teraz w budynku mieści się Urząd Gminy i poczta, a w sąsiednim gabinet dentystyczny. Wcześniej był on budynkiem szkoły. Była to pierwsza szkoła w Trzanowicach – wyjaśnia, dodając, że w tym roku są w gminie planowane obchody 120-lecia szkoły.*

Szkola od lat 80. XX wieku jest w Trzanowicach już tylko czeska, choć wcześniej, jak w większości miejscowości na dzisiejszym Zaolziu, funkcjonowała we wsi polska szkoła. – *Ja z dzieciństwa pamiętam jeszcze, że do tej szkoły, mieszczącej się w budynku, w którym teraz jest dentysta, uczęszczali mój brat i siostra. Oni są ode mnie o kilka lat starsi. 1981 rok był ostatnim rokiem nauki w polskiej szkole. Wtedy na całym niższym stopniu było tylko dziesięć dzieci. Szkoła ta należała pod dyktando dyrekcji szkoły w Gnojniku i ja już od pierwszej klasy uczyłam się w Gnojniku – wspomina moja przewodniczka.*

Trzanowice nie mają dwujęzycznych tablic, choć mieć by mogły. – *Były kiedyś na ten temat dyskusje. I w związku z tym, że w innych miejscowościach były problemy z zamazywaniem tych tablic, podjęto decyzję, że my nie będziemy ich robić. Jest tu 18 do 20 % Polaków.*

Wracając do głównego budynku Urzędu Gminy – oprócz wspomnianej sali wyposażony jest w dwie sceny – jedną wewnątrz, w sali, drugą na zewnątrz. – *Do całego kompleksu należy też duży ogród. Warunki do organizacji imprez plenerowych, takich jak dożynki, czy prowadzenia w wakacje półkolonii dla dzieci mamy idealne. A współpraca z Gminą układa się bardzo dobrze – cieszy się prezes MK PZKO.*

[5] Nowy staw z funkcją rekreacyjną



ŚCIEŻKI EDUKACYJNE, STAW I... WIEŻA WIDOKOWA

Spod budynków PZKO, Urzędu Gminy i dawnej szkoły kierujemy się w stronę ronda. Wybudowano go na skrzyżowaniu głównych dróg Cieszyn – Frydek-Mistek i Gnojnik – Cierlicko. – *Skrzyżowanie głównych traktów mamy tu od dawien dawna. Przez Trzanowice prowadziła tak zwana Droga Cesarska. Obecnie mamy tutaj skrzyżowanie dróg prowadzących do Cieszyna, Frydku, Cierlicka, Gnojnika, wyjazd na tak zwaną „Gorolię”. Tak więc dostępność komunikacyjna naszej wioski jest bardzo dobra. Aż za dobra, powiedziałabym, bo czasami jest tutaj bardzo duży ruch – mówi moja przewodniczka. Dodaje, że z wybudowanej w roku 2015 autostrady, którą widzimy niemalże nad sobą, najbliższe zjazdy są w Cieszynie i w Toszonowicach.*

Przechodzimy na drugą stronę drogi prowadzącej do Gnojnika i kierujemy się w stronę koryta rzeki Stonawki (fot. 3). – *Przez Trzanowice przepływa Stonawka. Trzanowice są jedną z gmin członkowskich Mikroregionu Dorzecza Stonawki (Mikroregion obcí povodí Stonávky). Mamy tutaj wytyczone ścieżki edukacyjne – moja przewodniczka wskazuje na mijaną tablicę informacyjną ścieżki edukacyjnej Poznaj Trzanowice (Naučná stezka Za poznáním Trnavic) (fot. 4). – Tablic takich jest przy tych ścieżkach kilka.*



[6] Wieża widokowa



[7] Opisana panorama umieszczona w wieży widokowej



[8] Panorama Beskidów widoczna z wieży widokowej

KOŚCIÓŁ KATOLICKI ŚW. BARTŁOMIEJA

Spod wieżyczki widokowej, mijając staw, wracamy tą samą drogą. Zza drzew wytłania się wieża Kościoła katolickiego pw. św. Bartłomieja. – *Tam pójdziemy, ponieważ warto zobaczyć dzwon – zapowiada moja przewodniczka. Dzwon w zeszłym (2024) roku po ponad 80 latach wrócił z niemieckiej niewoli. W Trzanowicach były cztery dzwony. W czasie wojny zabrano je i wywieziono do Niemiec. Jeden z nich nie został przetopiony na broń, ponieważ jest na nim data 1636. Jako że miał duże historyczne znaczenie, pozostał w Niemczech w stanie nienaruszonym. Oddano go w ramach akcji Dzwony pokoju dla Europy – projektu zwracania dzwonów, których w czasie wojny nie przetopiono. Ten nasz jest z XVII wieku. Teraz mamy dwa dzwony na wieży, a ten odzyskany jest wystawiony w środku kościoła – opowiada.*

Tymczasem wracamy do ronda i przechodzimy przejściem pod drogą (fot. 9). Po drugiej stronie drogi, po prawej stronie, widać sklep (fot. 10), po lewej zaś Stonawkę (fot. 11). – *Latem dużo ludzi przychodzi się tutaj kąpać. Sporo jest też takich, którzy specjalnie po to tutaj przyjeżdżają. Jest tu fajna woda, w basenie utwo-*

Znajdziemy na nich opisy tego, co widzimy, fauny, flory – wyjaśnia.

Tak dochodzimy do stawu (fot. 5). – *Wybudowano go niedawno, bo w roku 2015, jako rekompensatę dla naszej wioski za poprowadzenie przez nią autostrady. Woda wpływa do niego ze Stonawki i do Stonawki także wypływa. Można się w nim kąpać, nad brzegiem ustawiona jest zacieniona pergola – Dagmar Kluz wlicza atrakcje tego miejsca. – A zimą, kiedy był porządnie zamrożony, jeżdżono tutaj na łyżwach – dodaje.*

– *Oprócz ścieżek edukacyjnych prowadzi tędy również szlak rowerowy. Latem często jeździmy tędy na rowerach. Bardzo przyjemną drogą można dojechać stąd aż do Ligotki Kameralnej – mówi moja przewodniczka.*

My jednak idziemy tylko kawałek – do mini wieży widokowej (fot. 6). Prowadzi na nią 6 stopni. W wieży znajduje się opisane zdjęcie widocznych stąd beskidzkich szczytów (fot. 7). Są to: Jaworowy, Guckie Siodło, Ropiczka, Lipi, Kiczora, Czupel (fot. 8).

[9] Przejście pod drogą



[10] Sklep





[11] Stonawka



[12] Kościół pw. św. Bartłomieja



[13] Dzwon, który zwrócono kościołowi w zeszłym roku

rzonym przez próg wodny nawet popływać można. Obok jest restauracja i kolejny próg z miejscem do kąpania. Jeśli chodzi o sklep, to funkcjonuje tu, odkąd pamiętam. Jest to, tak jak na nim napisano, mini market. Lubię tutaj chodzić, bo nie lubię tych dużych sklepów, a tutaj mają wszystko – mówi moja przewodniczka.

Wyjaśnia, że brzegiem Stonawki, prowadzi dalsza część ścieżki edukacyjnej. Kawatek idziemy chodnikiem wzdłuż głównej drogi prowadzącej do Cierlicka i dalej do Hawierzowa. Po drugiej stronie znajduje się wspomniany i widoczny wcześniej kościół

pw. św. Bartłomieja (fot. 12). – Neogotycki kościół został gruntownie odremontowany niedawno, w latach 2020–2021. Został wtedy zrobiony nowy dach, elektroinstalacje, pomalowano ściany. A w zeszłym, 2024 roku, w ramach akcji „Dzwony pokoju dla Europy” wrócił wspomniany już dzwon (fot. 13) – wyjaśnia moja przewodniczka. Dodaje, że z kościołem tym czuje się bardzo związana emocjonalnie. To tutaj bowiem została ochrzczona, tutaj brała ślub, stąd, niestety, odprowadzała w ostatnią ziemską drogę swych rodziców.

– W Trzanowicach jest spora społeczność ewangelicka i żyjemy ze sobą w zgodzie. Mam nadzieję, że tak zawsze pozostanie. Czesi z Polakami również żyją w zgodzie, razem robimy różne imprezy – cieszy się prezes MK PZKO.

BRAMA DO PARKU LEŚNEGO I NA OSIEDLE

Idąc dalej mijamy dom seniora z ośmioma mieszkaniami, w których seniorzy żyją samodzielnie, a służby medyczne odwiedzają ich w razie potrzeby.

Przechodzimy na drugą stronę drogi i mijając jedyną obecnie czynną gospodę



[14] Zadaszony most pieszo-rowerowy przez Stonawkę stanowiący bramę do trzanowickiego Parku leśnego.

w Trzanowicach kierujemy się do zadaszonego mostu pieszo-rowerowego przez Stonawkę (fot. 14). Przechodzimy na drugi brzeg Stonawki, po czym skręcamy w prawo. Jeśli ktoś będzie spacerował naszym śladem z dziećmi, to z pewnością zainteresuje go znajdujący się tutaj mini plac zabaw (fot. 15). Idziemy przez osiedle domków rodzinnych. Moja przewodniczka wyjaśnia, że jest to jedyne tego typu miejsce w Trzanowicach.

Dochodzimy do skrzyżowania drózek i ścieżek (fot. 16). – Ta droga na wprost prowadzi

[15] Mini plac zabaw w Parku leśnym



[16] Skrzyżowanie drózek i ścieżek





[17] Widok na góry

na koniec Trzanowic. Nawet znajdujący się tam przystanek autobusowy nazywa się Trzanowice, Zadki. Tam też jest mój dom. Mieszkam na samej granicy Trzanowic – informuje moja przewodniczka.

Idziemy połączyć drogą tak, jak prowadzi ścieżka edukacyjna. Moja przewodniczka wyjawia, że jest to jedna z jej ulubionych tras na spacer z psem.

Po chwili po lewej stronie wylania się widok na góry (fot. 17). – Patrząc od prawej widoczna jest tutaj Praszywa, Lipi, Kiczera, Godula – wylicza.

Po prawej stronie natomiast są dwa stawy Muszalec (Mušalecké rybníky) (fot. 18). – Kolejną organizacją funkcjonującą w Trzanowicach jest klub wędkarski. To oni dbają o te stawy. W maju organizują zawody pod hasłem „chyt’ a pusť”, czyli „złap i puść”. Dzieci łapią ryby, ale puszczają je z powrotem. Natomiast jesienią wędkarze opiekujący się tymi stawami odławiają duże ryby i sprzedają. Ja na przykład zawsze tutaj kupuję karpia na święta – mówi pani Kluz. Przybliży też historię owych stawów. Wyjaśnia, że jeszcze w czasie II wojny światowej istniało 5 stawów na strumieniu Muszalec. Należały do rodziny Kappla, której po II wojnie światowej

[19] Dagmar Kluz ze swoim synem



został na podstawie dekretów Benesza majątek odebrany.

Przez długie powojenne dziesięciolecia XX wieku stawy były zaniedbane, ale w 2013 roku w ramach założonego w Trzanowicach Stowarzyszenie Odnowy Wsi (Spolek pro obnovu venkova), zostały oczyszczone i otoczone odpowiednią infrastrukturą.

Po obejrzeniu stawów wracamy tą samą trasą do głównej drogi. Na potwierdzenie tego, że właśnie w tamtą stronę szłoby się do domu mojej przewodniczki przypadkowo spotykamy na drodze wracającego ze szkoły do domu jej syna (fot. 19).



[20] Dwór Kappla



[18] Stawy Muszalec (Mušalecké rybníky)

DWÓR KAPPLA

Gdy wracamy do głównej drogi i przechodzimy na jej drugą stronę, wychodzimy niemal wprost na odremontowane dawne Gospodarstwo Kappla (Kapplův dvůr) (fot. 20). – Za komuny funkcjonowało tutaj państwowe gospodarstwo rolne. W 1993 r. został obiekt odbudowany i utworzono tutaj ośrodek biznesowy. Mieszczą się tutaj biura, lekarz, weterynarz, różne firmy, przemysł, produkcja, szkoła trzeciego wieku, szkoła odnowy wsi... – wylicza moja przewodniczka.

Mijamy Dwór Kappla spoglądając też na znajdujący się w tej okolicy jedyny blok wielorodzinny w Trzanowicach, gdy w oczy

[21] Charakterystyczne czerwone autobusy z logo drużyny hokejowej „Stalownicy Trzyniec” parkujące w pobliżu Dworu Kappla





[22] Droga pomiędzy polami prowadząca do kamienia granicznego na czwórstyku granic wsi.



[23] Widok na prawo, na Beskidy z drogi prowadzącej od Dworu Kappla do kamienia granicznego na czwórstyku granic wsi.

rzucają się nam trzy charakterystyczne czerwone autobusy z logo drużyny hokejowej *Stalownicy Trzyniec* (fot. 21). – Teren ten zagospodarowała firma transportowa, która między innymi wozi na wszystkie mecze „Stalowników”. Autobusy te jednak wykorzystywane są także do wożenia innych wycieczek. Gdy wiozą wycieczkę szkolną, to dzieci mają radochę – relacjonuje Dagmar Kluz.

CZWÓRSTYK GRANIC

Na pierwszym skrzyżowaniu asfaltowych, wąskich drózek opuszczamy prowadzącą

w prawo ścieżkę edukacyjną. Skręcamy w lewo. Idziemy między polami z uprawami rolnymi (fot. 22). Na prawo, w oddali, za szpalerem niedawno wysadzonych drzew i zaoranym polem, widać beskidzkie szczyty (fot. 23).

W ten sposób dochodzimy do wiaty turystycznej (fot. 24) wybudowanej na szlaku rowerowym i usytuowanej tuż obok kamienia granicznego. Spotykają się tu granice Trzanowic, Grodziszcz, Żukowa i Koniakowa. – Jesienią organizowana jest tutaj impreza. Kilkanaście lat temu postanowiono nawiązać do odbywających się tutaj

przed wojną spotkań mieszkańców tych czterech wsi. Zastanawiano się nad datą i wybrano 28 października – dzień powstania Republiki Czechosłowackiej. Organizowane są wtedy tutaj, na tej łące, zawody konne – moja przewodniczka wskazuje na łąkę rozciągającą się za wiatą, patrząc z naszej perspektywy, po lewej stronie.

My natomiast skręcamy w prawo. Schodzimy w dół wąską asfaltową drogą pomiędzy polami. Przed nami beskidzkie szczyty (fot. 25).

SUCHO W SUSZOWIE

Dochodzimy do Suszowskiego potoku (fot. 26). – *Cała ta część Trzanowic nazywa się Suszów. Wzięło się to z tego, że kiedyś suszono tutaj len. Myślę, że wzięło się to też z tego, że tutaj bardzo mało pada deszcz. Przykładowo na skrzyżowaniu w centrum pada, a tutaj nie – zdradza ciekawostkę moja przewodniczka.*

Po pół kilometrze wędrówki wzdłuż Suszowskiego potoku skręcamy w lewo. Przechodzimy mostkiem na drugi brzeg, mijamy po prawej stronie gospodarstwo, po czym kontynuujemy naszą wędrówkę wąską ścieżką przez las. Ścieżka doprowadzi



[25] Droga od czwórstyku w dół

[24] Wiaty turystyczna przy kamieniu granicznym



[26] Suszowski potok





[27] Górkę, na której był wyciąg narciarski



[28] Muzeum Jerzego Trzanowskiego

nas do asfaltowej drogi. Spotkamy tu znowu ścieżkę edukacyjną *Poznaj Trzanowice*.

Moja przewodniczka wyjaśnia, że gdybyśmy skręciły w asfaltową drogę w prawo, to doszłybyśmy do tej bazy transportowej, którą mijaliśmy wcześniej. My idziemy na wprost, jak prowadzi szlak ścieżki edukacyjnej. – *Na tej górze po prawej stronie (fot. 27) był wyciąg narciarski – wspomina moja przewodniczka.*

MUZEUM JERZEGO TRZANOWSKIEGO

Mijając kolejną tablicę ścieżki edukacyjnej dochodzimy do Muzeum Jerzego Trzanowskiego (fot. 28).

– *Muzeum Jerzego Trzanowskiego poświęcone jest jego życiu i dziełu. Był ewangelickim pastorem, rówieśnikiem J. A. Komeńskiego. Urodził się w 1592 w Cieszynie, ale rodzina Trzanowskich pochodziła z Trzanowic, jego pradziad był tu wójtem – wyjaśnia moja przewodniczka.*

Jerzy Trzanowski w czeskiej literaturze występuje jako Jiří Tránovský, w słowackiej jako Juraj Tranovský, w łaćnińskiej zaś zapis jego imienia i nazwiska brzmi: Georgius Tranoscivus. Tę ostatnią wersję, jakby chcąc pogodzić trzy sąsiadujące ze sobą

nacje spierające się o tę wybitną postać, przyjęli twórcy Muzeum.

Jeśli chcielibyśmy odwiedzić Muzeum, to trzeba wiedzieć, iż otwarte jest tylko po uprzednim umówieniu się.

KOŚCIÓŁ EWANGELICKI

Od budynku Muzeum do głównej drogi Frydek – Cieszyn jest zaledwie 50 metrów. Dochodząc do głównej drogi skręcamy w lewo. 100 metrów stąd w stronę Cieszyna znajduje się Kościół Ewangelicki. (fot. 29) Modernistyczny kościół należy do miejscowego zboru Śląskiego Kościoła Ewangelickiego Augsburskiego Wyznania. Jego historia sięga 1858 roku, kiedy to w miejscowości założono cmentarz, a przy nim wzniesiono kostnicę. W miarę upływu lat budynek ten przestał spełniać swoje funkcje, dlatego w 1894 roku rada cmentarna podjęła decyzję o jego rozbudowie i adaptacji na kaplicę, w której mogłyby odbywać się nabożeństwa. W 1984 roku wnętrze świątyni przeszło gruntowną modernizację według projektu architekta Karola Cieślara – wzniesiono nowy ołtarz oraz kazalnicę. Kolejne prace renowacyjne miały miejsce w 1995 roku, kiedy to odno-

wiono elewację i schody, a w 2000 roku uporządkowano otoczenie kościoła i ułożono nową nawierzchnię brukową.

Przed kościołem znajduje się rzeźba przedstawiająca Jerzego Trzanowskiego oraz kamień z tablicą poświęconą pamięci ks. Władysława Santariusza (1915–1989) – pierwszego pastora samodzielnego zboru w Trzanowicach.

Z POWROTEM POD DOM PZKO

Stąd wracamy pod Dom PZKO, spod którego wychodziliśmy. Po drodze mijamy jeszcze budynek straży pożarnej. (fot. 30) – *Podczas organizacji wszystkich imprez typu dożynki, odpusty mamy też bardzo dobrą współpracę ze strażakami. Zawsze dzielimy się pracą przy organizacji. Są też w gminie kolejne organizacje, na przykład myśliwi czy Matice Slezská. Oni na dożynkach czy na odpuszcach też mają swoje stoisko gastronomiczne – wyjaśnia prezes MK PZKO.*

Przechodzimy przez plac znany uczestnikom dożynek czy innych organizowanych przez trzanowickie Koło PZKO imprez plenerowych i znajdujemy się z powrotem w miejscu, z którego wyruszyliśmy. Za nami niecałe 9 km spaceru.

[29] Kościół ewangelicki



[30] Budynek straży pożarnej



JESTEM Z GWIAZD

Był poetą i astronomem. Nie mówimy tu o postaci średniowiecznej, jak mogłoby się wydawać. Takim współczesnym wyjątkiem był Piotr Horzyk (1946–2025).

TEKST: FRANTIŠEK VŠETIČKA

Urodził się w Trzyncu, prowadził firmę w Czeskim Cieszynie, a mieszkał w Ustro-
niu (około 10 kilometrów od Cieszyna).
Do Polski przeprowadził się stosunkowo
późno, bo przez większość życia pracował
w Hucie Trzynieckiej. W uzdrowskim
mieście odziedziczył jednak piętrowy do-
mek z balkonem, skąd przez teleskop od-
bywały się jego wyprawy w kosmos. Nie
były to amatorskie podróże – jego dom
pełen był książek i czasopism astronomicz-
nych, w tym wielu zagranicznych.

To praktyczna strona jego pasji. Teore-
tyczna część (ewentualnie skłonna do
teoretyzowania) zakłeta jest natomiast
w poezji Horzyka. Trudno znaleźć tomik,
w którym nie poruszałby tematu gwiazd-
stego nieba, a przede wszystkim relacji
człowieka wobec niego.

Piotr Horzyk związany był z ruchem późnej
fali poezji zaolziańskiej. Debiutował w la-
tach 80. razem z Gabrielem Palowskim we
wspólnym tomiku *Obecność*.

Po debiucie poszedł własną drogą, nie prze-
stając myśleć o wszechświecie i spoglądać
w gwiazdy. Początkowo niebo jawiło się
w jego poezji jednoznacznie – miało charak-
ter miłosny, wręcz podniosło romantyczny.

*Dalem Wóz
I Andromedę
I Pegaza do zaprzęgu
Żłocistą ci dalem Vegę
A do włosów srebrny Księżyc
I naszyjnik barwnych planet
To co miałem najświętszego
W mej krainie snów
Fantazji*

To początkowy etap twórczości, wyrażony
w tomiku *Poszukiwania* z 2015 roku.
To pierwszy i ostatni raz, gdy posługiwał

się taką formą. Później relacja między
wszechświatem a człowiekiem będzie pod-
dawana problematyzacji. Nawet jeszcze
w tym samym zbiorze.

W kolejnym beztytułowym wierszu (to
grzech Horzyka) romantyk pragnie wywa-
żyć okna niebios i ponosi katastrofalną
porażkę. Gwiazdy stają się tutaj pośredni-
kiem poznania ludzkich możliwości i zara-
zem korektorem. Wiersz kończy się otrzeź-
wieniem i rozczarowaniem. Gwiazdy:

*Spadały
Wyciągałem dłonie
Zuchwały
Wierzący
One się śmiały
TAK śmiały
Ze mnie
Pędząc innym szczęśliwcom
Naprzeciw*



Horzykowe *Poszukiwania* odnoszą się
przede wszystkim do gwiazd. Ukazują
jednak ich nieco inną stronę – pozytywną,
stanowiącą przeciwieństwo wcześniej-
szych dokonań.

W ponownie beztytułowym wierszu (opa-
trzonemu incipitem *Noc po dniu otwiera
ekran nieba*) poeta przygląda się galakty-
kom. Przyciągają go i zachęcają do głę-
bszego poznania.

W kolejnych tomikach kosmiczna tematy-
ka jest kontynuowana. W *Zapomnianej
prawdzie* (2019) Horzyk zawarł wiersz
Jestem z gwiazd, który rozpoczyna nastę-
pującymi wersami:

*Jestem obywatelem
Kosmosu
chcę byćcie wiedzieli –
KOSMOSU
nie przyjmuję do wiadomości
narodowości
zaszeregowania
w system
zakodowania
pod numer ewidencyjny
xy z...*

To deklaracja o tyle doniosła, że podkreśla-
jąca ponadnarodową świadomość – tak
istotną u Polaka z środowiska Zaolzia, regio-
nu bogatego w napięcia narodowościowe.

W tym samym roku co *Zapomnianą prawdę*,
Horzyk wydał tomik *Białe pióropusze*. Jego

tytuł nie sugeruje tematyki kosmicznej, jednak w tym kierunku zmierza obszerny wiersz *Planeta Ziemia*. To swoiste preludium do poematu liczące 106 wersów. To wiersz-prospekt, wiersz-wizja, w którym autor objawia się nie tylko jako wizjoner, ale także jako krytyk i moralista. Ostrzegawczo wskazuje katastrofalną możliwość zagłady naszej planety i stawia kluczowe pytanie:

*a co by się stało
gdyby zniknęła
Planeta ZIEMIA
i gdyby ŻYCIE
zmieniło się
w MARTWO*

To przytłaczające słowa. Łagodzi je jednak nie tylko dalsza poezja Horzyka, ale także jej oprawa graficzna. Wszystkie wspomniane tomiki zdobią reprodukcje obrazów zaolziańskiego malarza Bronisława Liberdy. Ze wszystkich bije niebiańskie światło, współgrające ze światem poety.

W tym kontekście nie sposób pominąć Gabriela Palowskiego. Jego pośmiertny tomik *Niepokój* Horzyk wydał w formie hołdu dla przyjaciela, a okładkę ozdobił kolejnym obrazem Liberdy. Przedstawiał on świetlisty strumień, który skierowany był w stronę dalekiego kosmosu. Horzyka i Liberdę łączyła silna więź.

Był początek nocy. Staliśmy na balkonie ustrońskiego domu, a przez mgłę – cho-

ciaż rzadką – nie było widać gwiazd. Przed nami wznosiły się jednak ciemne łuki Beskidu Śląskiego, w których migotały światła chat górali. Przypominały i zastępowały niedostępne ciała niebieskie. Wokół cisza, bezkresny górski spokój. Góral Horzyk stał za moimi plecami i przepraszał, że ani Alfa Centauri, ani Andromeda nie będą dziś widoczne.

Przeprosiny nikną w powietrzu, gdyż wzrok i zmysły skierowane są ku ciemnym górom. Ta ziemia nie może i nie powinna być martwa.

Poeta, więzień gwiazd i niezwykle człowiek, Piotr Horzyk zmarł w niedzielę 16 lutego 2025 w Ustroniu w wieku 78 lat.

TWOJA PIEŚŃ NIGDY NIE ZAMILKNIE

W niedzielę 9 marca zmarła w wieku 51 lat Urszula Szczepaniak – utalentowana wokalistka, ceniona kierowniczka Zespołu Pieśni i Tańca Olza oraz jedna z inicjatorek Koncertów Świątecznych zespołów folklorystycznych, które co roku odbywają się przed Bożym Narodzeniem w Domu Kultury Trisia w Trzyńcu.

„Kierowniczo, artystko, przyjaciółko, Twoja pieśń nie zamilknie nigdy” – tymi słowami członkowie zespołu pożegnali Urszulę Szczepaniak w emocjonalnym wpisie na Facebooku. Podkreślili, że jej śpiew i duch artystyczny pozostaną żywe w melodiach niesionych wiatrem oraz w sercach tych, którzy ją znali i kochali.

Urszula Szczepaniak, z domu Niedoba, związała się z Zespołem Pieśni i Tańca Olza już w wieku 13 lat, kiedy wstąpiła w jego szeregi jako tancerka. Jej rola w zespole zmieniała się na przestrzeni lat – była tancerką, solistką, konferansjerką, kierowniczką zespołu. Gdy trzeba było, zajmowała się nawet prasowaniem strojów – w zespole przecież trzeba robić wszystko.

Największą pasją Urszuli był śpiew – miała wspaniały głos. Jak podkreślił w kazaniu pogrzebowym pastor Roman Raszka, brała udział m.in. w Festiwalu Piosenki Polskiej, gdzie zdobyła prestiżową statuetkę Karolinki. Nie tylko występowała – chętnie

dzieliła się swoim doświadczeniem, zasiadając w jury konkursów śpiewaczych. Wspólnie z siostrą Barbarą występowała także w spektaklach Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego.

Była nie tylko utalentowaną artystką, ale także inicjatorką ważnych wydarzeń kulturalnych. To właśnie ona zainicjowała Koncerty Świąteczne, które na stałe wpisały się w tradycję regionu. Dziś trudno sobie wyobrazić adwent bez spotkania z zespołami ludowymi z Zaolzia, gromadzącymi tłumy w Domu Kultury Trisia.

Rodzina, znajomi i przyjaciele pożegnali Urszulę Szczepaniak w kościele w Nawsiu 14 marca. Członkowie zespołu, ubrani w stroje ludowe, utworzyli wartę honorową przy trumnie, towarzysząc jej w ostatniej drodze. Ostatni raz zagrali dla niej także członkowie kapel ludowych, a z nagrania zabrzmiał jej niezapomniany głos.

(RED)



POŻYCIE W POKOJU LEKARSKIM

TEKST: CZESŁAWA RUDNIK / ZDJĘCIA: MATERIAŁY PRASOWE TEATRU CIESZYŃSKIEGO

Po kilku latach przerwy kolejna farsa Ray'a Cooney'a bawi widzów Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszyńcu. Tym razem zespół wystawił sztukę *Wszystko w rodzinie*.

Marcowa premiera odbyła się, tak jak i pozostałe dwie propozycje obecnego sezonu, czyli *Zemsta* Aleksandra Fredry oraz *Romeo i Julia* / *Romeo a Julie* Williama Shakespeare'a, na prawym brzegu Olzy w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Cieszyńcu. Od wielu miesięcy trwa bowiem remont generalny budynku Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszyńcu.

Stąd też tylko trzy premiery w sezonie 2024/2025. No i tułaczka zespołu, która jest nowym doświadczeniem. Ale tylko do pewnego stopnia. Chodzi bowiem o teatr objazdowy z kilkoma stałymi miejscami przedstawień na Zaolziu i wieloma gościnnymi występami w Polsce.

Nikt na razie głośno nie mówi o końcu remontu i nie słyhać o planach na następny sezon, jednak nie należy się niecierpliwić. Poczekajmy, czym zaskoczy nas teatr po wakacjach. A póki co, korzystajmy z propozycji najnowszych, ale i tych, które od dłuższego czasu znajdują się



w repertuarze, a grane są nadal, bo chce tego publiczność.

Pozycja *Wszystko w rodzinie* dołączyła do zestawu wystawianych już w Scenie Polskiej sztuk Ray'a Cooney'a. W 2000 roku widzowie obejrzeli *Okno na parlament*, w 2003 roku *Mayday*, reżyserem obu przedstawień był Rudolf Moliński. Po kilkunastu latach doszło do ponownej realizacji sztuki *Mayday*.

Należy jeszcze przypomnieć, że w 1991 roku w Scenie Polskiej w reżyserii Jana Klemensa pokazano *Skok z tóżka*, sztu-

kę, którą Ray Cooney napisał wraz z Johnem Chapmanem. I żeby pozostać w tytułowej rodzinie, syn pisarza Michael Cooney jest autorem sztuki *Szczęściarz*, którą w 2001 roku w Scenie Polskiej wyreżyserował Jerzy Bończak.

W 2018 roku wystawił *Mayday* ówczesny dyrektor Teatru Cieszyńskiego Karol Suszka, a w roku następnym dołączył do repertuaru *Mayday 2*, kontynuację wątku londyńskiego taksówkarza bigamisty. W obu przedstawieniach główną rolę zagrał Tomasz Kłaptocz, a sekundował mu jako wciągnięty mimowolnie w intrygi sąsiad Grzegorz Widera.

Aktorów tych oglądamy w rolach wiodących również w najnowszej realizacji Sceny Polskiej, w przedstawieniu *Wszystko w rodzinie*. Przetłumaczony na język polski przez Elżbietę Woźniak tekst farsy wzięty na warsztat urodzony na Słowacji, a związany z Ostrawą Peter Gábor, który oprócz reżyserii teatralnej zajmował się też aktorstwem filmowym i jest wykładowcą w Konserwatorium im. Janáčka w Ostrawie.

Wszystko w rodzinie to jedna z najbardziej popularnych fars Ray'a Cooney'a, angielskiego autora sztuk teatralnych, reżysera, aktora, scenarzysty, producenta. Urodził się w 1932 roku w Londynie, na scenie występować zaczął tuż po ukończeniu obowiązkowej edukacji szkolnej, miał wtedy



czternaście lat. Jest więc praktykiem w każdym calu, teatr zna od podszewki.

Ray Cooney uznany został za mistrza farsy, chociaż zapytany, którą ze swych aktywności zawodowych lubi najbardziej, przekornie odpowiedział, że aktorstwo. Jego sztuki przetłumaczono na czterdzieści języków, także chiński i japoński. Podejmowane w nich tematy i sposób ich prezentacji okazały się zrozumiałe dla widzów na całym świecie.

Sam autor sukcesu swoich sztuk upatruje między innymi w tym, że nie są przeedukowane. Popularność ich jest niezaprzeczalna, mimo że farsa od wieków traktowana jest jako coś bardziej pośledniego niż poważny dramat. Jednak jej cechy charakterystyczne wykorzystywali w swoich dziełach komediopisarze od czasów starożytnych aż po współczesność.

Nieodłączne elementy farsy to temat z życia codziennego, komizm sytuacyjny, szybkie tempo akcji, proste dialogi bohaterów, którym jednak udaje się tak bardzo zaplątać w danych okolicznościach, że kolejne zdarzenia całkowicie wymykają się im spod kontroli. Zdaniem Ray'a Cooney'a w prawdziwym życiu taka sytuacja byłaby dla człowieka tragedią. Jednak na scenie konflikt wybrzmiewa komicznie i jakoś sam się rozwiązuje.

Najważniejsze, by widz, zaintrygowany rozwijającą się fabułą, dobrze się bawił, wybuchnął śmiechem. Ma być rozluźniony, nie myśleć zbyt wiele, nie analizować, bo mógłby jeszcze dojść do wniosku, że dowcipne *qui pro quo* niezbyt dobrze świadczy o poziomie intelektualnym bohaterów, którzy też często na bakier są z wartościami etycznymi.

Prapremiera sztuki *Wszystko w rodzinie* odbyła się w Guildford pod Londynem w 1987 roku, londyńska premiera miała miejsce w 1992 roku. Ray Cooney był reżyserem obu tych przedsięwzięć i zagrał rolę Dr Huberta Bonney'a. A ponieważ miał zwyczaj przerabiania sztuk, dopóki w pełni nie zadowalały jego i widza, możemy mieć pewność, że farsę swoją dopracował w szczegółach.

Akcja przedstawienia Sceny Polskiej rozgrywa się w londyńskim szpitalu św. Andrzeja w pokoju lekarskim. Stała scenografia, z kanapami, stolikami, półkami, wieszakami, zegarem-licznikiem, telefonem i choinką świąteczną, jest dziełem

Michała Syrovego. Kostiumy, bardziej i mniej poważne, a także te, które grają w przebierankach, zaprojektowała Alena Schäferová.

Latające drzwi z prawej i lewej strony, z tyłu ogromne okno i drzwi do toalety czynią to pomieszczenie przechodnie mało spokojnym. A to tu właśnie przygotowuje się do wygłoszenia wykładu na sympozjum neurologicznym bohater sztuki Dr Dawid Mortimore (Tomasz Kłaptocz o poważniejszym emplotu wspaniale wpisuje się w filozofię postaci według Ray'a Cooney'a).

Ponagla go, z miną stoika, Sir Wiloughby Drake (Zbyšek Radek). Atmosferę naukową zaktócają nie tylko emocje wokół prób do przedstawienia bożonarodzeniowego dla pacjentów, ale i niespodziewana wizyta atrakcyjnej Jane Tate (Katarzyna Kluz), która postanowiła wreszcie swemu osiemnastoletniemu synowi Leslie (Andrzej Ogłóza, po raz pierwszy w Scenie Polskiej) pokazać jego ojca, a Mortimorowi powiedzieć, że ma syna.

Nie powinna się natomiast o tym dowiedzieć jego żona, dumna, ale i współczująca Rosemary Mortimore (Barbara Szotek-Stonawski), toteż w intrygę wciągnięty zostaje kolega Mortimora Dr Hubert Bonney. W wykonaniu Grzegorza Widery to barwna postać, stary kawaler, którego Matkę (Anna Paprzyca) ucieszyła wiadomość, że jest babcią, a i on sam przyzwyczaja się do myśli, że mógłby być ojcem.

Po pierwszym kłamstwie udającego pastora Mortimora następują kolejne. Do tego Lesliego, który prowadził samochód w stanie wskazującym na spożycie, ściga Sierżant służbista (Marcin Kaleta). W intrygę wciągnięte zostają kolejne osoby, niezupełnie zorientowane, o co w tym wszystkim chodzi. Oprócz lekarza Dr Mike'a Connolly'ego (Kamil Mularz) obecna jest Pielęgniarka (Małgorzata Pikus), która samą aparycją wzbudza wesołość.

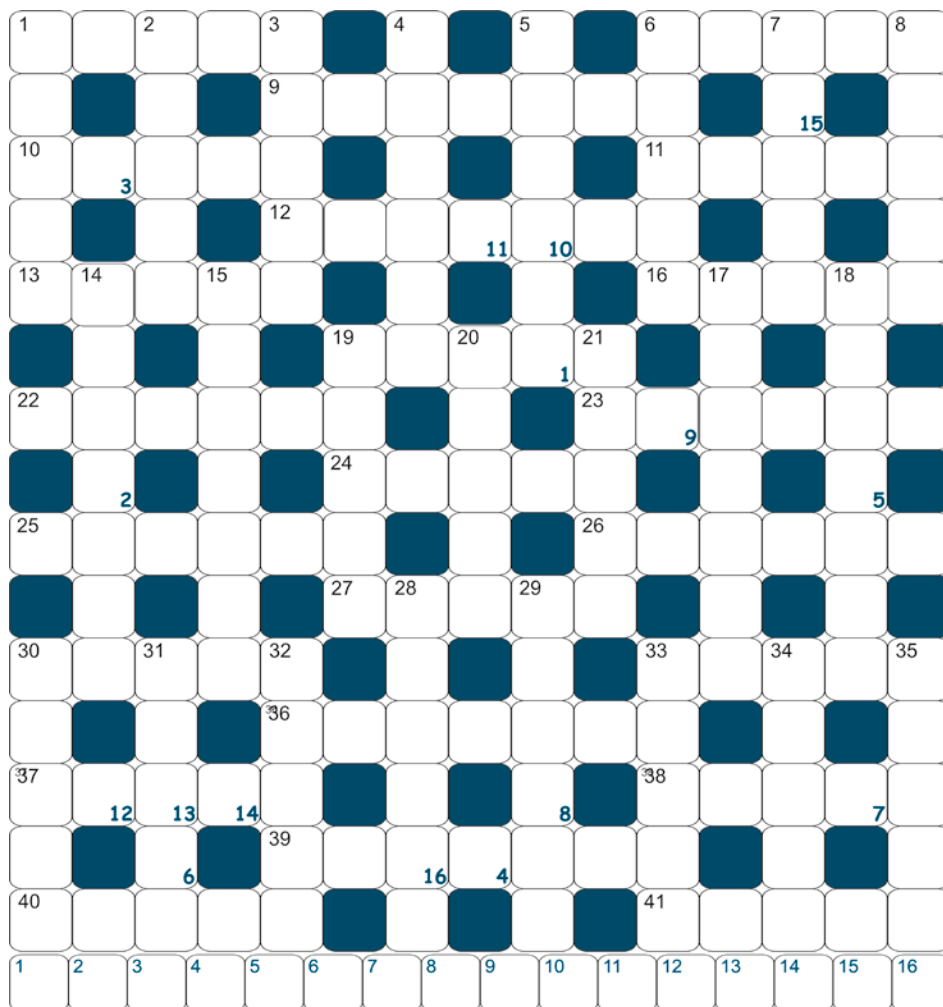
Ale przede wszystkim śmiech rozbrzmiewa pod wpływem działań Siostry przełożonej (Lidia Chrzanówna) ze strzykawką. W końcu sama pada ofiarą wywołującego dziwne halucynacje zastrzyku. Komiczny jest też Bogdan Kokotek jako żartowniś Bill, wszechobecny niewyżyty pacjent z demencją starczą.

Niezaspokojona pozostaje ciekawość Sierżanta, który wygłasza świetny monolog (zamieszczony zresztą w programie do przedstawienia) z pytaniami, na które nie dostał odpowiedzi w swym śledztwie. Ostatnie z nich brzmi: dlaczego myśli, że wszyscy są kompletnymi idiotami.

Reszta protagonistów jakoś odnajduje się w finale, chociaż niektórzy znowu lądują za oknem, za którym już wcześniej odgrywały się mrozące krew w żyłach sceny. Padają kwestie o tym, że wszyscy są zadowoleni, idą na herbatę, są szczęściarzami. Sprawą nierozstrzygniętą pozostaje ojcostwo Mortimora, Leslie bardziej podobny jest do Bonney'a.



Ray Cooney *Wszystko w rodzinie*. Przekład Elżbieta Woźniak, reżyseria Peter Gábor, scenografia Michal Syrový, kostiumy Alena Schäferová. Premiera Scena Polska Teatru Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie, 1 marca 2025.

**POZIOMO:**

1. sufit w okazałej sali
6. ściana grani
9. teatr na Powiślu
10. rysunkowa zagadka
11. wzór doskonałości
12. artystyczny szablon
13. mniejsza od powiatu
16. przełożony żydowskiej gminy
19. setna część złotego
22. ekskomunika
23. flota Filipa II
24. poważanie
25. reagują na uderzenie
26. krętać
27. w oknie celi
30. braki w kasie
33. odgłos tłuczonej szyby
36. pobudzający składnik kawy
37. jezioro na północy Polski
38. hreczka
39. uchodzi do Bałtyku
40. wieje w Tatrach
41. chroniony ptak z rzędu kraskowatych

PIONOWO:

1. hebel
2. honorowy tytuł żydowskich nauczycieli zakonu
3. szczęśliwa niech trwa jak najdłużej
4. najstarszy pod *Troję*
5. utrzymuje herbatę gorącą
6. zachowanie granic przyzwoitości
7. ryba ze łba
8. wydra morska
14. cukier słodowy
15. tusz
17. eksploatuje własny statek
18. pisklę gulgozającego ptaka
19. uszasty nietoperz
20. ostatnia w alfabecie
21. katarakta
28. powtarza się w piosence
29. starogrecki wiosłowy okręt wojenny
30. chodzi w habicie
31. szczyt tatrzański
32. na nogach katorżnika
33. podręczny u podróżnika
34. wzrok lub węch
35. niedźwiadek z Australii

ROZWIĄZANIE DODATKOWE
(Wóz w burzanach)

Opr. BIKI

Rozwiązanie dodatkowe prosimy przysyłać na adres pocztowy lub e-mail: info@zwrot.cz do **9 kwietnia 2025**. Rozwiązanie krzyżówki z nr 2/2025: Ojciec zadżumionych.

Nagrodę, bon do Vinotéki Jakub, za nadesłanie poprawnego rozwiązania otrzymuje Tomasz Suchy. Gratulujemy!



VINOTÉKA JAKUB

**NAJLEPSZE
WINA W
CENTRUM
CZESKIEGO
CIESZYNA**

vinotekajakub.cz
Smetanova 1908/9
CZESKI CIESZYN

16 Polskie Towarzystwo Turystyczno-Sportowe *Beskid Śląski* podsumowało minioną kadencję, prezentując bogaty dorobek działalności turystycznej, sportowej i kolarskiej oraz skuteczne pozyskiwanie funduszy na rozwój organizacji. Mimo niewielkich zmian w zarządzie, Towarzystwo pozostaje aktywne, organizując liczne wydarzenia i angażując społeczność. Podczas zebrania podjęto także kluczowe decyzje dotyczące przyszłości, w tym o zwolnieniu najstarszych członków z opłat, a także ustalenia dotyczące reprezentacji na imprezach polonijnych. ▼



19 Byli członkowie chóru Harfa, mimo zakończenia działalności zespołu, wciąż pielęgnują więzi i regularnie się spotykają, aby wspominać wspólne lata śpiewania. Tradycyjnie organizują dwa spotkania rocznie – noworoczne oraz letnie, połączone z jajecznicą. Wydarzenia te są okazją do rozmów, wspólnego śpiewania i podtrzymywania chóralnej tradycji. Dla wielu z nich Harfa była nie tylko zespołem muzycznym, ale także miejscem budowania przyjaźni i niezapomnianych wspomnień. Choć chór już nie istnieje, jego dawni członkowie nadal pozostają aktywni w życiu kulturalnym, a niektórzy kontynuują swoją pasję w innych zespołach. ▼



19 W polskiej ambasadzie w Pradze odbyło się spotkanie przedstawicieli służb dyplomatycznych państw UE i Komisji Europejskiej, z udziałem prezydenta Czech Petra Pavla, zorganizowane przez polskiego chargé d'affaires Jacka Gajewskiego z okazji polskiej prezydencji w Radzie UE. Dyskutowano o wsparciu dla Ukrainy oraz porozumieniu pokojowym, a Petr Pavel omówił oczekiwania dotyczące współpracy Czech z USA. Pochwalił priorytety polskiej prezydencji w zakresie obronności, bezpieczeństwa i polityki gospodarczej oraz poparł postulaty odbudowy zdolności obronnych UE. ▼



23 W Domu Polskim na ul. Bożka odbyło się zebranie sprawozdawcze Miejscowego Koła PZKO w Czeskim Cieszynie-Centrum. Omówiono minione inicjatywy kulturalne, edukacyjne i sportowe oraz plany na przyszłość, w tym zaplanowaną na maj wycieczkę na Opolszczyznę. Ważnym elementem spotkania było uhonorowanie jubilatów obchodzących okrągłe rocznice urodzin. Wyjątkowy program artystyczny uświetnił koncert harfowy w wykonaniu młodych harfistek pod kierownictwem Ewy Jaślar-Walickiej, światowej sławy harfistki i założycielki Polskiego Towarzystwa Harfowego. ▼



24 Radni Czeskiego Cieszyna odwiedzili siedzibę ZG PZKO przy ul. Strzelniczej 28, aby zapoznać się z postępem remontu *Fasalówki* i planami jego kontynuacji. Prezes Helena Legowicz oprowadziła gości po budynku, przedstawiając historię renowacji i jej znaczenie dla polskiej społeczności na Zaolziu. Dotychczasowe prace obejmowały m.in. modernizację korytarza, remont dachu i poprawę energooszczędności, jednak z powodu inflacji koszty wzrosły z planowanych 18 mln do 35 mln koron. Finansowanie pochodzi z polskich i czeskich dotacji oraz publicznej zbiórki, ale wciąż brakuje pełnej kwoty, dlatego PZKO zwróciło się do miasta o wsparcie. Rada Czeskiego Cieszyna ostatecznie przyznała na remont *Fasalówki* dotację w wysokości 1 miliona koron czeskich. ▼



25 W Ośrodku Kultury *Strzelnica* w Czeskim Cieszynie odbyła się jubileuszowa XX edycja konkursu *Mistrz Pióra*, organizowanego przez Centrum Pedagogiczne dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego. W tegorocznej edycji wzięło udział rekordowa liczba 192 uczniów z polskich szkół podstawowych na Zaolziu, którzy rywalizowali w trzech kategoriach wiekowych, pisząc prace na wybrane tematy. Konkurs ma na celu rozwijanie kreatywności, umiejętności twórczego pisania i poprawności językowej. Wydarzenie wsparły m.in. Konsulat RP i Senat RP, fundując nagrody dla uczestników. ▼



PAMIĄTKA RODZINNA

FOTOGRAFIA CZARNO-BIAŁA PRZEDSTAWIAJĄCA GÓRNIKA W MUNDURZE GALOWYM,
LATA 20–30. XX W.

Własność: Piotr Twardzik / Opis: Sylwia Grudzień



Fotografia czarno-biała w poziomie, przedstawiająca młodego mężczyznę w górniczym mundurze galowym. Zdjęcie wykonano w atelier fotograficznym. Mężczyzna siedzi na krześle, ujęty jest w pozycji $\frac{3}{4}$, wzrok ma zwrócony w obiektyw, w rękach trzyma album – sprawia wrażenie, jakby na chwilę oderwał wzrok od albumu, aby spojrzeć w kierunku fotografa.

Mężczyzna na fotografii to Henryk Twardzik (1902–1979) – dziadek właściciela zdjęcia. Więcej na temat górniczych tradycji rodziny Twardzików w środku numeru.

Drodzy Czytelnicy i Czytelniczki! Zwracamy się z prośbą o nadsyłanie zdjęć i skanów pamiątek rodzinnych, takich jak dokumenty, listy, fotografie, ale i przedmioty codziennego użytku, meble, obrazy, itp. Pamiątka ma mieć dla właściciela wartość sentymentalną i wiązać się z rodzinną historią. Propozycje prosimy kierować pod adres: sylwia@zwrot.cz, tel. 777 710 648.